



IGNACY OKUZA
GRABOWSKI

GRANUM
SALIS

"KSIĄZKI CIEKAWE"
WARZAWA

IGNACY GRABOWSKI

„GRANUM SALIS”



KONACZ GIBRGTWSKI

"GRANUM SALLIS"



98191

ZAKŁADY GRAFICZNE ZYGMUNT SAKIERSKI,
WARSZAWA, MIEDZIANA 4-a, TELEFON 126-49.

K-167/89/109562

B U C E F A Ł II.

John Bull zrodził Kinga, King zrodził Paira, Pair zrodził Earla, Earl zrodził Baroneta, Baronet zrodził Vicounta, Vicount zrodził Torysa, Torys zrodził Whiga, a Whig zrodził Dreadnoughta, słynnego derbiste, który był ojcem Bucefała, zrodzonego w stajni księcia polskiego X. i stamtąd do końskiej księgi rodzaju zameldowanego.

Po kądzieli zaś Bucefał był synem Gitany, która była córką Fatmy i Alego, wnuczką Zulejki, prawnuczką Szeherazady, praprawnuczką Semiramidy i tak dalej, aż do kronik Nedzedu, opowiadanych przez Arabów z pokolenia w pokolenie.

Imię swoje, które odbiegało od nazwisk ojców i matek, Bucefał dostał z przypadku. W tej samej chwili, niezwłocznie, gdy źrebię po raz pierwszy padło na podłogę stajni i prostowało się na nogach, a matka obwąchiwała je i lizała, menażer pobiegł do pałacu z wieścią o urodzinach.

— Ogierek — rzekł. Księżstwo siedzieli przy obiedzie. Zerwano się od zupy i wszyscy pobiegli do stajni, z wyjątkiem młodej księżniczki, którą Miss cofnęła z podwórza.

Książę okiem znawcy zmierzył źrebię.

— Gniady — rzekł.

— Gniady — powtórzył menażer.

— Duży — zdecydował książę.

— Duży — zgodził się menażer.

Księżna podeszła do klaczy, poklepała ją po szyi, rozkazała przynieść ciepłego mleka.

Książę zwrócił się do syna, czternastoletniego młodzieńca, który przyszedł również wraz z pedagogiem.

— Będzie twój, nazwij go sam.

Młody książę wahał się, a raczej nie mógł sobie przypomnieć odpowiedniego rzeczownika.

— Coś z historii — poddawał pedagog — przykład z Aleksandra Macedońskiego.

— Bucefał — krzyknął chłopiec.

— Doskonale — potwierdził pedagog — w encyklopedji świata trudno znaleźć świetniejsze, wspanialsze imię końskie.

— Dla mnie jest ono trochę za *du grec*, wołałbym coś modern — zarzucił sam książę.

— Papo, Bucefał! — prosił się chłopiec.

Księżna była również przeciwko „Bucefałowi“, utrzymując, że brzmi ordynarnie i że wyrazy z „l“ są barbarzyńskie. Pedagog zwrócił najuprzejmiejszą uwagę księżnie, że można wymawiać z angielska lub z francuska „*biusfel*“, co jest dźwięczne.

Książę rzekł do menażera:

— Proszę zapisać „Bucefał II“ dla odróżnienia od pierwszego, którego objeżdżał ten książę z Macedonji.

Wszyscy powrócili do obiadu, Bucefał zaś wraz z matką pozostali na opiece stajennego Wiljama czyli Walentego i chłopca Toma czyli Tomusza.

Jak wszystkie źrebięta, Bucefał ssał kilka miesięcy słodkie mleko matczyne, wyciągając poufale pyszczek do przybyszów, którzy przychodzili go oglądać. Chłopiec Tomek czyścił go zgrzebłem i mile łaskotał po krzyżu, więc polubił Tomka, kładł mu głowę na ramieniu i wyszczerzał doń zęby. Znali się, jak przyjaciele.

A gdy skończyły się dni mleczne i Bucefał umiał już gryźć siano i owies, odstawiono go od matki i poszedł w świat. Wraz hordą rówieśnych pasał się na łąkach, spijał z rosą woń kwiatów i ziół, płał brzuch w rzece, hulał niezdarnie przydługimi nogami i gryzł młode klaczki, których jeszcze nie lubił, bo za młody był.

Doszedł wieku i zaczął rzyć. Odlączono go od młodziaków, do takich, jak on sam niebezpiecznych wyrostków. Prowodyrem został odrazu Tomek na oklep galopował na nim na czele tabunu po dudniącej ziemi. Zwierzęta i ptaki przerażone umykały, ulatywały przed pędzącą hordą, gdy źrebcom udało się wyrwać poza ogrodzenie. Tomek

gwizdał, krzyczał z upojenia. Bucefał na czele sadził niepowstrzymany, ognisty, jakby uciekał przed niewolą. W taki sposób dzień po dniu wyrabiał sobie rzut i moc nóg.

Wypiękniał teraz, kształtując się lekko a silnie Gniady był, ale na słońcu sierść grała mu niekiedy złotymi kolorami. Tomek rozczesywał mu grzywę na dwoje, na dwa spady.

Tak rósł i dorósł. A wtedy przypomnieli sobie o nim ludzie. Wprowadzili go w świat.

Naprzód skurtyzowano Bucefała, czyli obcięto mu potężny ogon, którym niemal dotykał ziemi wraz z kawałkiem chrępia tak, aby już na resztę żywota pozostał kusy. Teraz długim rozmachem ogona nie mógł już odpędzać much, ani komarów, ani gzów, ani innych krwiopiców, łaknących młodego mięsa końskiego, lecz napróżno majtał, krótką szczoteczka, niegroźną nawet dla bożej krówki. Brakło mu czegoś u zadu, czuł nieznośnie. Dlaczego ludzie zrobili mu to, nie zapytawszy o pozwolenie. W szlachetnym oku Bucefała zjawił się ogień gniewu.

Niezadowolony zbierało w nim jeszcze mocniej, gdy wzięto go do szkoły, na linkę i uczono klusa. Niepotrzebnie ujeżdżacz trzaskał nad uchem z bątem, który tak biegł całą duszą, rozgrzewając się w miarę czasu. Zniechęcił ujeżdżacza. Gdy ten po raz pierwszy dosiadł go, Bucefał stanął dęba. Ujez-

dażcz ciął szpicrutą, Bucefał dał w bok takiego szczupaka, że ujeżdżacz wyleciał w bok z siodła, boleśnie padając na ziemię.

Od tej pory nikt już nie mógł dosiąść Bucefała. Dozwalał włożyć na siebie siodło, ale gdy zbliżał się do niego jeździec, witał go okiem tak złem i rzeniem tak głuchem i ponurem, że amator się cofał. Było kilku takich, którzy mieli śmiałość dosięścia. Tych zrzucił w kilka sekund, a gdy mu zakrwawiali nos wędzidłem, przewracał się na ziemię, gniojąc człowieka.

Więc ze złością beziły i poddaniem się bezradnym patrzano na lotnego bieguna, którego nikt nie mógł wziąć. Nieprawda! nie nikt! Tomek jeździł na Bucefała, a koń był mu posłuszny i łagodny, jak jagnię. Dosiadł go bez siodła, bez cugli, wprost na derze, umocowanej pasem, z gałazeczką wierzbową w rękę do łaskotania grzywy. Koń cwałował przez złote, zielone, czarne pola, przesadzał płoty, rowy, chrusty, a chłopak przy skokach obejmował go rękoma za szyję i tak się trzymał.

— Hu, ha!

Bucefał niósł Tomka tak czule i przytulnie, jak gdyby na złość wszystkim chciał zarzyć:

— Jego jednego kocham!

A cwał ten Bucefała, nie znający przeszkód, płynny i cudnie zdarny pewnego razu dostrzegło wielkie towarzystwo książęce, sportsmeni i ama-

zonki. W południe wrześnieje wyjechali na babie lato wygrzać się na ostatnim słońcu. I trafili w sam czas na harce Bucefała z Tomkiem.

— *A merveille!* — lornetowała sama księżna.

Ona tu była pierwsza w kolorowym orszaku, jako amazonka w jeździe *par-force* i jako łowczyni, dobijająca kordelasem warchlaki, dzicze i sarny. Jako pani natury swawolna i kapryśna.

Dobiegała trzydziestego piątego roku życia. Skończyła pierwsze lato, a zaczynała drugą wiosnę, podczas której nie kwitną już fiołki, lecz śmiertelnie namiętne tuberozy. Zastanowiło ją to, że dotychczas wystawiała na pokaz publiczny swoje tualety, a to, co miała najpiękniejszego, własnego, ciało gibkie i zwięzłe, wyćwiczone do skoku kota, do splotu węzowego, pozostało dla oka ludzkiego niemal tajemnicą, nieodgadnione, nieuznane przez nikogo.

Księżna szukała mężczyzny... mężczyzn.

Nadstawiało się jej wielu, jak wyżyły z dobrym wiatrem, czujące zwierzyne, starzy i młodzi, bruneci i blondyni, łysi i uwłosieni, z monoklem i bez monokla, galerja ludzi również *inexprimables* co do charakteru, jak co do ubrania. Ale księżna szukała nie tego mężczyzny, lecz takiego.

Romantycznym źródłem trysnęła jej dusza. Śnił się jej uwielbiany hrabia de Camors. Pragnęła niezwykłego mężczyzny, któryby nimbem swoim

zakrył trywjalność miłostek. Mógł to być lotnik, przelatujący na aeroplanie wysokie góry, mógł być podróżnik do lodowatych mórz, mógł być wszechświatowy tenor, nie, tenorów niechaj zabiorą inne księżne, mógł być wogóle jakiś śmiałek, mający prawo rozkazać kobiecie.

— Przyjdź, jam warta ciebie!

Więc dzisiaj, w łagodny dzień wrześnieje, wśród pajęczyn babiego lata, a w kawalkacie pstrej i gwarliwej, na widok pędzącego Bucefała, nudzącej się a podrażnionej upajającymi widmami kobiecie błysnęła myśl.

Nagle skoczyła koniem naprzód.

— Za mną, panowie.

Podcięła swą karą Karabelę i sunęła przed siebie galopem. Za nią kilku jeźdźców. W pewnej odległości od reszty towarzystwa, księżna wstrzymała konia. Jeźdźcy otoczyli ją kołem.

Odgarniając wiewne promienie włosów, które osunęły się jej na czoło, księżna rzekła doniosłe z drwiącym półśmiechem:

— Czy jest między panami chociaż jeden, który mnie nie kocha?

Wszyscy dżentelmeni, jak jeden, uchyliłi kapeluszy, a znany sportsmen, hrabia Napoleon, dodał:

— Pani, jest niemożliwością, aby się taki znalazł.

— Zatem kochacie mnie wszyscy? — dopyty-

wała się księżna.

Kapelusze milczały na znak potwierdzenia, a hrabia Napoleon znowu dodał:

— Ścisłe do punktu, do jakiego nam wolno.

Zatem, zatem — mówiła powoli księżna, wskazując główką szpicruty na pędzącego w dali konia — kto zdoła dosiąść Bucefała, ten będzie wybranym.

— Jeśli się nie mylę, a byłem przez rok na wydziale historycznym, historia opowiada, jako król Filip po incydencie z Bucefałem rzekł do Aleksandra: „synu godnyś nie tylko Macedonji, ale całego świata“.

— Tak — księżna spuściła oczy.

Zamilkli wszyscy i przez chwilę rozmawiało tylko brzęczenie komarów. Postanowienia układały się.

— Czy księżna dotrzymuje? — i hrabia Napoleon przytarł swoim koniem do Karabeli.

— Pan wątpi?

— Przez rok byłem na wydziale prawnym; jeśli mnie moja jurysprudencja nie myli, niema umowy bez zadatku.

— Zadatku? Dobrze. Ja dotrzymam.

Księżna szybko zdjęła z ręki rękawiczkę i podała dłoń do pocałowania.

— Jest to grosz dla żebraków, nie zadatak — rzekł hrabia Napoleon, dotykając zlekka ustami po-

danej dłoni.

— Ma pan słusność. Attendez! Proszę po-trzymać szpicruty.

I księżna zdjęła drugą rękawiczkę. Zakasała rękawa, wzięła z palca pierścień i ostrym brylantem ukłuła białe ramię. Wystąpiła kropla krwi.

— Proszę zadatek — rzekła, podsuwając ramię hrabiemu Napoleonowi.

— To jest coś.

Pocałunkiem wziął krew i zabliznił miejsce. Układ dobrze zapieczętowano.

Wkrótce towarzystwo powróciło do pałacu na obiad, a Bucefał do stajni zmęczony, zziębnięty, nie domyślający się, jaką ma rozegrać stawkę.

Tego wieczora hrabia Napoleon długo przechadzał się pod księżycem, pytając go o radę, w jaki sposób ujarzmić Bucefała. Księżyc poradził mu, że najlepsza droga prowadzi przez jedyne go przyjaciela Bucefała — chłopca Tomka.

Więc udał się hrabia niezwłocznie do stajen, gdzie zastał jeszcze Tomka, czyszczącego przy latarce buty. Poczestował go papierosem i zapytał:

— Dlaczego Bucefał nie pozwala sobie do-sięść?

— Bo go znarowili i boi się bata, gdy go ude-rzyć, pomstuje.

— A dlaczego dopuszcza ciebie?

— Bom go nigdy nie uderzył, jeno klepię, albo drapię. Taki już jest, koń z koni.

— A ja mógłbym go obłaskawić? — zagadnął hrabia.

— Nie tak łatwo. Teraz Bucefał byle komu nie uwierzy.

Hrabia Napoleon postanowił obłaskawić Bucefała. Nazajutrz rano zjawił się w stajni, dał Tomkowi złoty pieniądz i wszedł z nim w przymierze. Potem rozpoczął pochlebstwo Bucefałowi.

Ponieważ Bucefał nie dopuszczał do swej klatki hrabiego, lecz natychmiast zaczynał strzyc uszami, źle patrzeć i niepokoić się w nogach, Tomek osadził zgrzebło na długim kijku, aby hrabia z oddalenia mógł wiskać i drapać konia.

Tak czynił hrabia przez trzy dni, po kilka razy dziennie, mając na głowie żółtą czapkę Tomka.

Dnia czwartego Bucefał dał się hrabiemu z kułbą napoić.

Piątego hrabia szczotką uczesał mu grzywę.

Szóstego dnia nie zrobiono żadnych postępów.

Siódmego dnia Bucefał dopuścił hrabiego do wyczyszczenia ogona. Wtedy hrabia uszczęśliwiony, przyspieszonym krokiem, powrócił do pałacu.

Księżna spotkała go złośliwym uśmiechem, w którym igrało: „Czekam i czekam“.

Hrabia Napoleon odpowiedział jej tajemniczym zmrużeniem oczu: „Cierpliwości“!

Rzeczywiście miało się ku końcowi. Dziesiątego dnia na okólniku, bez widzów, hrabiemu udało się wsiąść na Bucefała i pokłusować w najzupełniejszym spokoju. Tomek włożył sowitą nagrodę do kieszeni, a hrabia, pięknie wygolony, ze stojącym wąsikiem, oświadczył księżnie:

— Księżno, Bucefał oczekuje twojego rozkazu.

— *Vraiment?*—niedowierzała.

— Prawda jest w moich oczach — rzekł zuchwale, patrząc na kobietę, jako na swoją własność...

— Zatem, zatem... radzę się wypowiedać. W razie wypadku nie chciałabym mieć pańskiej duszy na sumieniu.

— Byłem przez rok na wydziale filozoficznym i, jeżeli się nie mylę, mądry człowiek powinien wiedzieć, że co ma wisieć, nie utonie.

— Zatem jutro—rzekła księżna.

— Jutro...

Nazajutrz galopowała ku zagajnikom czwórka: fioletowa amazonka, żółty piaskowy pan, kara Karabela i gniady Bucefał. Księżna o pół konia wyprzedzała hrabiego Napoleona, który ściśle utrzymywał pole. Tak mu było najwygodniej, widział wspaniałe biodra księżny.

Bucefał niósł jeźdźca spokojnie i posłuszenie, parskając. Niekiedy i coraz częściej zwracał głowę ku towarzysze z rzeniem. Widocznie zapłonął ku Karabeli.

— Hopla!—Księżna skoczyła przez rów. Bucefał śmignął też.

Księżna milczała, hrabia gwizdał...

Pędzili dalej. Biegiem roztrzęsione jasne włosy księżny coraz gęściej wysuwały się z pod kapelusza, krew okrasiała twarz. Srebrne nici pajęczyn obficie pozawieszały się jej na szyji, jak gdyby resztki poszarpanych, białych woalów. Na aksamitne paniątko natura nałożyła żywe barwy

Hrabia wczuwał się i wpatrywał: „moja“.

Zastąpiła im ściana lasu, a raczej młodego zagaju z choiny i brzoza, czerwonawe liście ożenione z ciemną zielenią igieł. Zapraszał ich gąszcz oczom zakryty na wolne od ludzi uroczysko.

— Jak pachnie!—szepnęła księżna.

Zsiadłszy z koni, prowadzili je za sobą w głąb zagaju, płosząc zające i ptaki. Przedzierali się przez kuszczę, smagani gibką gałązką lub kluciem ostrą choiną. I sporo gęstwiny przeszukali, zanim doszli do polanki, gdzie na środku królowała mateczna wielka brzoza, od konarów złożona z dwóch ramion-bliźniąt.

Tutaj uwiązali konie; Karabelę do jednego ramienia, Bucefała do drugiego.

Hrabia Napoleon rzekł:

— Księżno, teraz pójdziemy na grzyby.

— A niema tu mrówek?

— Telimena?

Wziął ją pod ramię i, unosząc trochę, prowadził... Szli po głębokich, uginających się pod stopami, wrzosach, wyściełających dno leśne, jakby jedno wielkie łożo, wonne i czyste. Nogi, wplątane we wrzosowisko, mdlały. Księżna dyszała.

— O, rydz!—rzekła, wskazując szpicrutą.

Nachylili się oboje nad rydzem. A szukając—znaleźli siebie. Uklękli oboje. Przygarnął ją pierwszym pocałunkiem...

Wtem usłyszeli rzenie Bucefała i zarazem głośny kwik, odgłos bitwy końskiej.

— *Animal!*

Hrabia Napoleon musiał pośpieszyć do koni.

Tutaj, pozostawiony sobie, Bucefał zrywał się z uwięzi i zaczepiał Karabelę. Hrabiemu Napoleonowi udało się pochwycić przy pysku za cugłę. Ugłaskał go i przywiązał do drzewa dwa razy okrętniej.

i śpiesznie powracał.

Naledwie wszakże odszedł kilkanaście kroków. Bucefał zaczął niepokoić się znowu.

Gniewnie zawołał hrabia z oddali:



Bucefał jakby nie słyszał. Rwał się całą potężną pierśią.

— Stój!

Wzburzony hrabia skoczył ku niemu ślepo. A gdy Bucefał targnął się znowu, uderzył go szpiarutą z całej siły raz, drugi, trzeci. Trzy jasne pręgi wystąpiły na złotawej skórze konia, w oczach czerniejące.

Koń zatrząśł się całym kadłubem i chrząknął głęboko, przeraźliwie. A gdy człowiek dotknął mu szyji, aby pieszczotą okupić razy, Bucefał stanął dęba, zrywając rzemienie, jak nici. Przednimi kopytami uderzył w pełną pierś hrabiego, a gdy ten upadł, zębami pochwycił go za twarz.

— Hrabio! — wołała z gąszczów wyczekująca księżna.

Hrabia nie mógł przyjść do niej. W zemdle- niu leżał, z potłuczonymi żebrami, splawiony we krwi.

Na wołanie księżny odpowiedział tylko szelest łamanych gałęzi. To wolny Bucefał wszedł w las a za nim Karabela.

Zbieganego Bucefała pochwycono i odstawio- no do stajni. Ale teraz już nikt nie usiłował go dosiąść. Gdy poza prostym Tomkiem nie mógł znaleźć swojego Aleksandra Macedońskiego, wy-

wyćwiczono go do zaprzęgu. Klusuje dziś jako wa- łach w pojedynkę w *tillbury* paryskiej *mademoiselle de Grands Nichons*, na przejażdżkach po lasku buleń- skim lub alejach elizejskich.

Wydawnictwo...
Kilka...
w...
...
...

**„STAŚ MI
Z JARMARKU...”**

Jan otworzył niebieskawą podwójną kopertę.

„Szanowny Pani!

Przyjechałam do rodziców na dwa tygodnie.
Chciałabym zobaczyć Pana. Przepraszam za wy-
zwanie, do którego upoważnia mnie przecież...

Marja Z.

P. S. Groom jest pewny, można mu zawierzyć.
Gdyby Pan wiedział, co ja przesłałam...”

— Co ona przesłała — Jan uśmiechnął się.

Pomyślał, że jest maj, że kobiety zakwitają
jak kwiaty, a wonią swoją radeby zapelnąć wszech-
świat.

— Czy i pan hrabia przyjechał? — zapytał
grooma.

— Pani hrabina przybyła sama — odparł chło-
paczek rumiany i hoży w zielonem strzeleckiem
ubraniu.

— Dobrze! — za chwilę dostaniesz odpowiedź.

Jan napisał:

„Piękna Pani!

Całą resztkę mojego serca i wszystkie siły
kładam do jej rozporządzenia. Ale są trudności.

Chociaż po pojedynku pogodziliśmy się z bratem Pani, cień zwady pozostał i w Sosnowie, u rodziców Pani, nie bywam. Jeśli się nie mylę a w tym razie na pewno pamiętam, nie widzieliśmy się już pięć lat, to jest mniej więcej od Jej ślubu. Nie wiem, jak się przez ten czas Hrabina rozwinęła i do jakiego stopnia chce i może ryzykować. Proszę mi wyjaśnić swój pogląd na okoliczności, a zastosuję się do wszelkich bez wyjątku. Szczerze, serdecznym palcem, proszę mi napisać. *Précisez.*

Jan T.“

Oddał groomowi list i zapytał jeszcze:

— Czy pani hrabina wyjeżdża konno?

— Dosiada — odpowiedział chłopiec — ale kilka dni temu „Bucefal” zrzucił panią hrabinę i teraz nie jeździ.

— Tak!...

Chłopiec odjechał, a Jan pozostał ze wspomnieniem Marysienki, rosnącym z cudną szybkością, jak palma zwrotnikowa w parny dżdżowy dzień. Z blond dziewczką, bystrą i giętką, jak sarna, gonili się wzajem po alejach i trawnikach wielkiego sosnowskiego parku, gdzie nieomal można było się zabłąkać. Jest tam na stawie wyspa z lasem z klonów i brzoź, z okrągłymi altanami bzu, zwana Słowiki. Tam podpływali łodzią, aby przyglądać się i straszyć pnące się po drzewach wiewiórki. I całować się, bo ustom nie mogli odmówić. Dojrze-

wało. Już pewnego popołudnia Marysienka z uspioną wolą zawisnęła na ramieniu Jana, a on ogarniał jej policzki, oczy, skronie, bijące tętno szyji. Brakowało tylko ostatniego wietrzyku, aby przeniósł pyłek z jednego kielicha na drugi.

Przerwano...

Brat Marysienki, gracz i marnotrawca majątku, powziął upartą kombinację połączenia małżeństwem siostry ze swym przyjacielem i kompanem, hrabią Z. Zaloty Jana były mu nie na rękę. Nie mogąc inaczej, doprowadził umyślnie do sprzeczki. Stanęli naprzeciw siebie, w pojedynku. Szczególnym wypadkiem obie kule trafiły przeciwników w to samo miejsce, w prawe ramiona.

Jan rozumiał przyczynę pojedynku, rozumiał, że stosunek jego z Marysienką zerwany. Przestał bywać w Sosnowie, a wkrótce wieść go doszła o ślubie Marysienki z hrabią Z.

Naprzód było mu boleśnie, potem głupio, potem przykro, a wreszcie, jak każde urojone nieszczęście w młodości, wyszło mu na dobre. W tym czasie uwiodła go pewna miła, a doświadczona wdowa, przy której nauczył się wiele z praktyki sentymentu. Tej kobiecie był niezmiernie wdzięczny za dobre wprowadzenie do ogrodu miłości, a pierwsze prace serjo często ostrzegają o przyszłości każdego mężczyznę, kim ma być, panem czy niewolnikiem, butem z ostrogą, czy pantoflem? Wdo-

wa była zdania Wielkiego Napoleona, że każda stracona godzina może sprowadzić przegrana, a zatem wpoila w Jana stanowczość. Z drugiej strony przekonała go o wadze wytrwałości: „*insistez toujours, il en restera quelque chose*”.

Zasady się przyjęły na rodzajnym gruncie Jana O Marysienke nie zapomniał. Wiedział i pamiętał o miejscu, dniu i nawet godzinie ślubu, choć mu zawiadomienia nie przysłało. Było to w późny wieczór jesienny z wichrem, gdy się suche liście bezcelowo gonia, głupie, szalone. Miał jechać do żdowy, nie pojechał. Kazał osiodłać konia, popędził gościńcem na prawo, na lewo, wprost, wszystko jedno dokąd. Spotkał się w drodze z pędzącym, gwizdzącym samochodem. Koń uskoczył w bok, Jan omal nie spadł. Samochód biegł w dal, dokąd, po co?

O Marysienke nie zapomniał. „*Insistez toujours!*” Tegoż dnia posłał jej bukiet z róż tak mocno ponosowych, że były prawie czarne.

Marysienke wręczono bukiet w jej panińskim pokoju, gdy była już ślubnie ubrana, cała biała w pomarańczowym kwieciu.

— Co to, od kogo?

— Niewiadomo, posłaniec odjechał — objaśnił służący.

Marysienka już wiedziała... Machinalnie wzięła bukiet, więc miała w ręku dwa, w lewej ślubne

białe, w prawej czerwone kwiaty. Stała tak bezwiednie w niemyśleniu, głęboko wczuta w rozkosz słodkiego dreszczu kobieta..

— On, Jan?!

Wszedł narzeczony, nieco blady, przygasłooki

— Marie?

Spostrzegł w ręku narzeczonej dwa bukiety.

Patrzył niewiedzący, pytający.

Przysłało mi w tej chwili — rzekła Marysienka,

— Kto?

— Nie wiem. — Było to jej pierwsze małżeńskie kłamstwo. A była tak ponętna w tem wypadkowem osnuciu się woalem tajemnicy, że mężczyzna uczuł się mocno niecierpliwym w jej pożądaniu. I zazdrosnym.

— „Insolent“ — wyrzekł

Wziął bukiet czerwony z ręki Marysienki i, mnąc kwiaty pełną dłonią, wyrzucił za okno.

Biała oblubienica stała cicha, w zmiennych jej oczach odbijało się żywe falowanie duszy.

Za chwilę narzeczony odczuł, że stało się coś niepotrzebnego z jego winy. Ścisnął dziewczynę za prawe ramię i pocałował w usta.

Ona poddała się osłabiona wzruszeniem. Świat rzeczywisty zniknął jej z oczu. Widziała tylko, jakby w lustrze, samą siebie, w białej ślubnej sukni obtrzymim bukietem ponosowych róż. Tak

jakby w tem załatwieniu kolorów spoczywała treść jej przyszłego życia.

Groom odjechał z listem. Janowi kobieta przypominała o sobie. Djabli...

Kiedy przyśle wiadomość, tym razem już wezwanie.

Jan był ciekawy kobiety, jak każdy mądry wąż — Ewy. A zwłaszcza tej, do której miał pewne prawo własności. Prawdopodobnie całował ją pierwszy, a zatem zasada wszelkiego prawa *jus primi occupantis* była za nim.

Przygoda miłosna nieoczekiwana spadła z nieba, jak piorun. Cóż więc na świecie rozkoszniejszego. Więc schodził Jowisz jako chmura, jako deszcz złoty, jako łabędź, jako byk. To znaczy: uderzy w serce natury, oddzwoni z lichwą za śmiałość.

Kiedyż Marysienka napisze?... Jan czekał w gorączce i niepokoju. Aby skrócić czas, który mu się dłużył, jak skwarna, piaszczysta droga, najchętniej przespałby oczekiwanie. Nie lubił pić, a teraz, aby sprowadzić sen, wziął się do konjaku. Nic nie pomogło, rozdrażnił się jeszcze bardziej!

— Marysienko!

Ach, zarób, niecierpliwy panie, na wdzięki, lubej. Zarób rozkoszną męką oczekiwania, która będzie próbą wytrzymałości twojej bujności miłosnej. Pracuj tęsknotą i pragnieniem.

Nareszcie... napisała.

„Piątek wieczór w parku Sosnowskim, przy łodzi na stawie. Wejść przez sztachety.

M.

P. S. Nie od rzeczy wziąć pled, bo noce bywają zimne.”

— Jak ona o mnie pamięta. — Jan był rozczulony pledem. List odebrał w piątek rano, a zatem już dziś wieczorem..

Dzień był parny, po deszczu trawa i zboże rosło, więc gorący oddech roślinności ciężył w powietrzu.

Marysienka! Panienska, która teraz stała się wielowiedzącą damą, jak francuskie czasopismo *Je sais tout*. Aby tylko nie wiedziała za wiele. Jan się tego trochę obawiał; a nuż nie spotka w niej tego czegoś, co wiązało ich dawniej. W takim razie romantyczne spotkanie byłoby tylko pospolitą schadzka.

Nie odrzucajmy wszakże i powszedniego chleba w pożądaniu łakoci, bo los nas słusznie może ukarać. Brać, co jest całą siłą wiosny.

Czy Marysienka pozostała taką smagłą i gibką, jak wtedy, gdy niekiedy *par-force* udało mu się na chwilę objąć ją. Czy roztyła się?

Widział ją od rozłąki tylko dwa razy.

Pierwszy raz było to w Warszawie. Jechała samochodem alejami Ujazdowskimi w ogromnym ka-

peluszu ze strusiem piórem, które kołysało się od wiatru. Zaledwie ją poznał, ale treści chwycić nie mógł.

A raz wtóry zobaczył jej fotografię w piśmie ilustrowanem, wśród dam, zajmujących się dobroczynnością. Była nic nie mówiąca, jak wszystkie fotografie.

Nie miał nawet wiadomości, czy odwiedzały ją bociany?

Co będzie w pierwszej chwili, gdy się dzisiaj spotkają? Lód, miłość, obojętność, przymus, serdeczność, udanie, prawda? Niepodobna przewidzieć.

Dzień schodził.

Nad wieczorem upadł deszcz. Powietrze rozwidniło się czystością i wonią niepokalaną. Jan rozkazał chłopcu stajennemu zaprząć konia do linijki.

O zmierzchu wsiedli, ich dwóch, to jest pan i sługa, a za nimi biegł czarny wyżeł „Nero“. Jan nie chciał go wziąć, ale pies skoczył mu łapami na pierś. Więc wziął go.

Popędzili drogą, jak groblą pośród morza falujących żyt, w miodowej woni kwitnących koniczyn. Echo stawało się ogromne, jakby cały świat podawał sobie wieść o nadchodzących godach nocy. Zmierzch czerniał, ale czuć było, że dzień kładzie się do snu nie jak schorowany robotą umęczeniiec, lecz rozbiera się z białej sukni, młody, pełen sił.

aby w ciemnościach spotkać wstydliwą kochankę.

— Marysienka wybrała wieczór dobrze.

O nocy już dobrze zapadłej zatrzymali się na drodze przy młodym borku sosnowym.

— Tutaj! — rzekł Jan. Wjechał w gąszcz. Zostawił pojazd i chłopca. Dotknął kieszeni, czy ma rewolwer, wziął pled. Ona tak kazała. Uśmiechnął się. „Nero“ pobiegł za panem.

Zdała widział światelka małej tu i owdzie. To Sosnowo. Poszedł szybkim krokiem, niecierpliwie, niemal drżący.

W pałacu było ciemno, ani światelka. Obszedł go zdała. Znał dobrze miejsce, więc z łatwością, okrążając, doszedł do żelaznych, ostrych sztachet parku. Nie spotkał nikogo, żaden pies nie szczeknął.

Zakładał drabinę... W tej chwili doszedł go śpiew, przyciszony, jakby nieśmiały, a jednak tak głośny, że zagłuszył mu głowę. Na chwilę stracił wzrok, fala krwi osłepiła go.

Staś mi z jarmarku przywiózł pierścioneł,

Józio przeslicznych róż wianek;

Tyś mi żadnego nie dał podarku

Lecz, Janku, tyś mój kochanek!

I ostatnie słowa bis, bis.

Marysienka śpiewała...

— Waruj! — Zostawił „Nera“ przy drabinie, sam skoczył do parku...

Marysienka była bardzo rozważna. O zmierzchu przywołała starego stróża, Szymona, i zapowiedziała mu:

— Będę dzisiaj wieczór spacerowała po parku, więc psów nie wypuszczajcie!

Stary Szymon usiłował przekonać „panienkę“, że psy będzie trzymał przy sobie, a zatem „panienka“ może się nie bać. Ale „panienka“ bała się bardzo, więc nie dała się przekonać.

Natomiast całem sercem pragnęła wynagrodzić Szymona za troskliwość. Sama wyniosła mu szklaneczkę wódki słodkiej a mocnej.

Szymon wypił odrazu i całą prawdą serca życzył „panience“, aby Pan Bóg miał ją w swej opiece. Marysienka odczuła jego dobre życzenia i była mu wdzięczna. Pragnęła cały świat mieć za sobą.

Szymon wkrótce zaczął śpiewać tęgie krakowiaki, poczem legł pokotem w krzaku bzuwijn przed pałacem. Pani zaś zawołała garderobiane, Joasię.

— Upleć mi warkocz!

— Dobrze, proszę pani.

— Mów mi dzisiaj: panienko!

— Dobrze, proszę panienki.

— Tak!

Joasia z wysokiej fryzury pani uplotła dwa grube warkocze — węże.

— Przewiąż je różową wstążeczką!

— Dobrze, panienko.

— Podaj mi białą suknię!

Joasia nie wiedziała którą.

— Ach! tę, w której grałam teatr amatorski, wiesz?

Joasia podała białą suknię, w której „panienka“ było tak pięknie na komedji, że wszyscy klaskali!

Marysienka ubrała się. Odrzuciła gorset, stanęła przed lustrem, obu rękami próbując piersi. Była pewna siebie. Uśmiechnęła się.

— Korale?!

Joasia przyniosła korale, a pani zapięła je na szyji.

— Słuchaj, Joasiu. Cięży mi trochę głowa. Wyjdę na spacer do parku. Ty możesz iść spać, nie czekaj.

— Nie będzie pani za zimno?

— Ach, tak! daj mi szal kaszmirowy.

Rzuciła niedbale na ramiona szal i poszła w głąb nocy.

Jan pochwycił ją nucającą, zniecka, tak, że się przestraszyła. Ale napróżno odruchem bronić się chciała, zatrzepotała, on już nie puszczał. Przygarniał ją z całych sił, całował usta, szyję, i włosy.

Panienko moja! — szeptał.

A gdy ją przesilił i poczuła się bezwładną, sama objęła go ramionami.

— Janku!

— Marysienko! pojedziem na „Słowiki“.

Czy tak?

— Jak chcesz...

Siedli na łódź, przywiązaną do brzegu stawu, oświetlonego wkradającym się już od parku księżycem. Ławeczka łodzi była wąska, więc Jan wziął Marysienkę na kolana, a że na dnie pozostało wody, więc oparł stopy jej o burtę. Obarczony ciężarem, wiosłował od niechcenia, ledwie pluskał.

Łódź ruszyła powoli, sennie, jakby wiozła skamieniałe kształty, łódź bajkowa, ale bez Charona, wpływająca ze świata Furji i Centaura, nie na asfaltowe wody Lety, lecz dążąca do Zatoki Miłości.

Ze stawu zerwała się nocująca w trzcinnie dzika kaczka. Za szumem jej zarechotała żaba. Księżyc zasnęła chmura, ale wnet rozpogodził się.

Łódź, milcząca jak Sfinks, trąciła o kępiny wyspy „Słowików“.

— Tutaj!

Jan wziął Marysienkę na ręce i, całując od stóp do głów, wyniósł na brzeg.

— Nie zaciężka-m? już jestem babal—zapytała.

Jan przyłożył gorące usta do jej ucha, szepcząc:

— Ewal!

Gdy postawił ją na nogi, Marysienka zerwała

się jak przepiórka i uciekła w ciemność, w krzaki bzuwe, pomiędzy aleje i altany z klonów, brzoź i grabów, na polanki wśród gąszczów, ale ścigała ją wszędzie białość sukienki, za którą biegło oko Jana. Gonili się tak, aż zdyszana oparła się o wielkie rozłożyste drzewo.

Gdy Jan pochwycił ją, naraz zaczęła płakać

— Co ci jest, najdroższa? — dopytywał się

Ona nic nie odpowiadała, tylko zarzuciła mu ręce na szyję i twarz wilgotną od łez przyłożyła do jego twarzy. Całowała go bez pamięci, rytmem febrycznym, jak kobieta, której Pragnienie pokonało Wstyd i pastwi się nad pokonanym — niełitośnie.

Jan dojrzał tuż obok zawieszony pomiędzy dwoma drzewami hamak i poniósł tam Marysienkę. Złożył ją na siatce, a pod głowę położył swój pled. Potem spróbował kilkakrotnie lin hamaka, czy mocno trzymają i usiadł przy niej. Zbliżyli twarze.

Gorący wiatr zawiął skądś, doszedł aż tutaj w gąszcze wyspy Słowików, zapalając oddechy kochanków.

Gdy pierwsza fala miłości minęła, Marysienka zapragnęła mówić i wiele mówiła.

— Czy wiesz, dlaczego pierwsza napisałam do ciebie?

— Bo ja do ciebie nie napisałem...

— Bezczelny! — targnęła Jana za ucho.

— Mów, słodka, ty, ja będę słuchał. Jesteś piękna czarownica, wolę na ciebie patrzeć.

— Wyśmiesz mnie?

— Nie spodziewaj się ode mnie litości.

— Wezwałam ciebie, aby uratować samą siebie od wielkiego grzechu. Ach! czy mnie rozumiesz, jesteście w uczuciach tacy zewnętrzni. Jestem na drodze do... upadku. Czy gniewasz się, że miałam do ciebie zaufanie.

Jan rzeczywiście nie rozumiał; było mu tak głupio, jak nigdy.

— Nie kocham męża, z którym żyję, nie kocham ubogich, dla których dobro czynię, nie kocham otoczenia, które mnie nudzi... Modłę się, abym czemukolwiek mogła oddać prawdę serca! Wszystko ucieka mi z przed duszy, jak mgła poranna przed słońcem. Czuję przecież, że jestem piękna, a na dewotkę zawczasie mi, na to czas zawsze, gdy powiędną liście. Chcę żyć! Nie lubię czarnej barwy. Tuliłabym wszystkie, goniące się po łąkach i po kwiatach motyle. Jestem głodna... wечно głodna...

— Więc czułam, że się to musi skończyć porażką mojej duszy. Natura, silniejsza ode mnie, ogarnia mnie. Rozpuszczę wolę, rozmienię siebie na drobne grosze, stracę miarę wstydu, przestanę być kobietą. O, Matko Boża! daj mi wymarzyć,

stworzyć Tajemnicę Uczucia, o którą mogłabym się oprzeć.

— Odbyłabym pielgrzymkę do Częstochowy połowę drogi boso, połowę w żółtych pantofelkach.

— I nic mi nie przyszło na myśl, co by było serjo, oprócz ciebie, Janku. Całe życie moje wydało mi się żartem, wszystko, co mnie otacza, pęd drobiazgowy powszedniości — pustoty, a za jedyną rzeczywistością chodziły za mną chwile, które spędziliśmy tutaj razem, sami sobie. Jedyne dobro mojego życia. O, jakże świat bez tego byłby okropny!

— Wezwałam ciebie, postanowiłam. Niech przyjdzie, oddam mu się. Utrwalmy Tajemnicę Uczucia. Może popełniam grzech urzędowy. Ale przez ten grzech mniejszy uniknę większego. Oddam siebie, ale stracę siebie. Czytałam myśl wielkiego poety o „złem, z którego rodzi się dobro“. Tu jest tak. Nieprawdaż, Janku?

— A może ty mną pogardzasz?

— A może Wielka Tajemnica z tą chwilą nie utrwaliła się, lecz umarła?...

Jan zamknął lubej usta swojemi.

Kilka słowików naraz zaciągnęło trele. Ti-ra-li, ti-ra-li, jeden chwycił takt drugiego i tak bez kapelmistrza odbijała się o niebo najwyższa, najczystsza symfonia życia.

A ze szlaku stawiska, z mazi błotnej, z ziemi

jakby naprzekór słowikom, żaby szerokiem gardłem darły się t-ra t-ra, ostro, brzydko, nielitościwie.

Pomiędzy temi dwiema melodjami, pieśnią obłoków i pieśnią ziemi, płynęła cicho, szeptem, pieśń miłosna Jana i Marysienki, pieśń ludzka. A miała w sobie wszystko to, co obie razem.

Było już dobrze po północy. Ale napróżno czas przypominał się kochankom, miłość ich była niestrudzonem źródłem, więc czasu nie słuchali. Tak po wielkiej posusze przychodzi szereg burz, jedna za drugą, druga za trzecią i tak dalej, jak nawałnice potopu, bez końca.

Już jakiś bezsenny, przedwczesny kogut zapiał. Kundle wiejskie w oddali zaszczeakały.

— Gdyby tak teraz nagle przyjechał twój mąż? — rzekł Jan.

— Ach, nie! toby zbyt dobrze o nim świadczyło.

— Więc nie zazdrośny?

— Mógłby być, ja mu się niekiedy podobam.

Zresztą to zależy od tego, czy ma *rhume de cerseau*. Jeżeli ma, to go nic nie obchodzi. Gdyby więc teraz, gdy tu jesteśmy, nie miał *rhume de cerseau*, lecz stanął nad stawem i zawołał:

— Marie! — Jan zaśmiał się.

— Tobym oderwała się i popłynęła ku niemu...

— A ja?

— Zostałbyś na wyspie sam, jak Robinson

Krucze, dopóki nie znalazłabym sposobności, aby powrócić i uwolnić cię.

— Cóżbym jadł, umarłbym z głodu?

— Zostałbyś tutaj cały dzień, wszakże o jasności nie mógłbyś stąd się ruszyć. Przyniosłabym ci jedzenie. Co lubisz na śniadanie? Czekoladę... A chleb cienko czy grubo krajany, dużo masła?

Jan śmiał się i ścisnął ręce Marysienki.

— Na śniadanie, ma się rozumieć, trudno byłoby o gorące, przyniosłabym ci butelkę wina i pasztetu. Białe czy czerwone?

— Białe.

— Dobrze. Na obiad — piersi bażanta i konfitury z derenia. Czy lubisz? No i samą siebie.

— Białe mięso... *merci*.

Marysienka przytuliła się do kochanka.

— Wiesz co — mówiła dalej z rozkoszą — chciałabym bardzo, aby tak, jak mówiłeś, hrabia stanął nad stawem i zawołał: „Marie“. Miałabym ciebie dłużej, dłużej..

Ucałowała Janowi skronie, a on przypiął się wargami do jej szyji w tem miejscu, gdzie spadają pierwsze promienie włosów, a miejsce to jest tak delikatne, że Wenus pozwalała się całować Adonisowi tylko w chwili najwyższej ekstazy.

W tej chwili ponad stawem rozległo się wołanie:

— Marie!

Z wyspy, przy zamgłonym, przecie dosyć ja-
nym świetle księżycyca, widać było na tamtym brze-
gu sylwetę mężczyzny w tem miejscu brzegu, gdzie
przystawała łódź.

— Mąż!

— Hrabia!

— Co robić? — Marysiénka straciła na chwile
myśl.

— Nie odzywaj się — rzucił Jan.

Więc była cisza, ale wkrótce wołanie przy-
szło po raz trzeci, jeszcze głośniejsze i, jak się ko-
chankowi zdawało, groźniejsze.

— Muszę się odezwać; nie widząc łodzi, do-
myśli się, że jestem na wyspie — szepnęła tak ci-
cho, że nie dosłyszały jej nawet i nie drgnęły liście
wielkiej lipy, pod którą stała. Wychyliła się z gąszczu
na brzeg stawu i krzyknęła.

— *Toi, Edouarde?*

— *C'est stupide!* — odpowiedział tamten.

Marysiénka zaczęła śpiewać, wchodząc do ło-
dzi, a wśród *cantando* miała sposobność zwrócić do
Jana, ukrytego w gąszczu, głośnie:

— „Czekaj!”

Odbiła od brzegu. Wiosłowała pewnie, ale
nie śpiesząc się. I znowu wietrzyk unosił w wysokie
trzciny czyste tony piosnki:

— Staś mi z jarmarku...

Sylweta na tamtym brzegu, hrabia otulony
w obfity pled, podobny do bonzy indyjskiego, nie-
ruchomy, skrzywiony i cierpliwy czekał. Ostatnie
słowa: „Lecz, Janku, tyś mój kochanek“ i Mary-
siénka wyskoczyła na brzeg.

Jan, leżący w krzaku bżowym, wypatrujący
oczy, widział, jak „Edouard“ podał rękę Mary-
siénce. Było niemal wesoło w tej przyrodzie, która
rokowała niewiadomy koniec. Gdyby nie troska
o Nera, którego zostawił, warującego u sztachet par-
ku, los jego nie pozostawiałby nic do życzenia.

Natomiast gorzej mogło być Marysiénce. Je-
żeli hrabia coś podejrywa, jeżeli pozna, jeżeli opu-
ścił go akurat dzisiaj *rhume de cerveau*. Miłość pozos-
tawia ślady. Mogą być sceny małżeńskie.

Głupstwo! Marysiénka się wykręci. Najtru-
dniej wszakże będzie jej wynaleźć pretekst do po-
wrotu i uwolnienia jego. Noc się wkrótce skończy
a gdy dzień wstanie, on naprawdę będzie uwięzio-
ny na wyspie do przyszłej nocy. Przytem zaczy-
na być zimno, jak zwykle przed zorzą. I on sam
czuł, wyziębiony po gradzie miłosnym. Chciałby
jeść! Och, tak filizankę barszczu i bigosu.

Ani marzyć o bigosiel! Dobrze, że ma pled
do okrycia. A zawdzięcza go Marysiénce. Cudna
kochanka. Pomyślał, że i kobiety są potrzebne na
świecie.

Wyciągnął się w hamaku, okrył pledem i drze-
miąc, czekał...

Hrabia wziął żonę pod rękę.

— Jesteś romantyczna.

— Cieszę się, żeś zdrowa.

— Na jutro zaprosiłem towarzystwo tutaj na
partję bridge'a.

— Więc przyjechałeś nie dla mnie?

— Dla ciebie, Będziesz grała na piątą.

— *Merci!*

— Będziemy grali na wyspie. Jeden z moich
przyjaciół twierdzi, że śpiew słowika pomaga przy
bridge'u; ja twierdzę, że rozdrażnia. Musimy się
jutro przekonać. Te ptaki są stanowczo przechwa-
lone. Jak myślisz?

Marysienka przerażona myślała w tej chwili,
że Jana natychmiast, nim zadnieje, trzeba z wyspy
uwolnić. Jutro od rana ustawią tam zielony stołek,
zejdzie się służba.

— Masz ręce wilgotne, Doktor mówił, że staw
w Sosnowie i te „słowiki“ są malaryczne. Doktor
ma rację. Narażasz się...

Marysienka myślała uporczywie, w jaki sposób
uwolnić Jana. W ostateczności musiałby uciec
wpław. Ale zważywszy na zimno późnej nocy, od-
rzuciła niegodziwość z oburzeniem.

Weszli do pałacu. Na korytarzu, przed swoją
sypialnią, Marysienka podała rękę mężowi.

— Dobranoc.

Hrabia przetrzymał dłoń długo i rzekł z uśmie-
chem, pukając w drzwi palcem.

— *Je frappe!*

— Ach! nie jestem usposobiona.

— Ziębłaś?... ogrzeje.

— Dziękuję. — Wzdrygnęła się, ale mąż pchnął
ją zlekka naprzód i sam wszedł za nią. Zapalił
dwie świece. Marysienka nie wiedziała co robić,
była całkiem bezwładna.

Teraz Edouard zobaczył żonę w przebraniu
panienki. Biała suknia była pomięta i wilgotna ro-
są nocną, na warkoczach tu i owdzie ślady gęstwi-
ny zielonej. Oczy gorzały jeszcze spotęgowa-
nem życiem, a matowa twarz odpoczywała bla-
dością.

— Jesteś piękna — rzekł.

Próbował ująć ją za ramię, usuwała się. To
go rozdrażniło i wpatrywał się w nią coraz natar-
czywiej.

— *Tu exhales quelque chose*, czegoś nigdy nie
miała. Jakby... ekstrakt miłości. Gdybyśmy to
byli w mieście, mógłbym podejrywać jakie indy-
widuum, mniemałbym, że powracasz ze schadzki.

Chwycił ją w pól. Wyrwała się jeszcze, odpy-
chając go rękoma.

— *Laissez!* jestem chora.

— To nieprawda!

Marysienka pod grozą dotknięcia męża przysłała do siebie. Wyprostowała się z dumną wyniosłością koniecznego kłamstwa. Szarpnęła kilkakrotnie z całej siły za sznurek od dzwonka. W ci-szy pałacu echo było głośne.

Edouard stał stropiony, za chwilę weszła Joasia! Dziewczyna była w nocnym zaniedbaniu, w krótkiej spódnicy, przy piersiach i szyji niemal całkiem obnażona, rumiana i biała na tęgim ciele wieśniaczki. Zbudzona ze snu promieniała ciepłem.

Hrabia spojrział na dziewczynę i zadrzał.

— Słuchaj, Joasiu — rzekła Marysienka — pan przyjechał niespodziewanie; w pokoju, gdzie zwykle sypia, widziałam na łożku piernat, pan hrabia nie znosi piernatów, zmień na drugi materac, prześciel.

Joasia, przytomniejąc i odczuwając kłujące ją szpilki oczu hrabiego, zaczęła się osłaniać.

— Pośpiesz się, Joasiu — mówiła dalej Marysienka — pan tu, u mnie, czeka na twoją robotę.

— Słucham. — Joasia wyszła, hrabia patrzył w dół.

Marysienka, również nie patrząc, zaprosiła męża.

— Usiądź, zanim się wyguzdrze.

Edouard, przeciągając się, odrzekł ironicznie.

— Jeżeli mnie nie chcesz... jutro przy *bridge'u*.

Pocałował żonę w rękę, potem w czoło.

— Połóż się zaraz do łóżka. Gdybyś nie mogła zasnąć, zostawiam ci usypiające proszki, najnowszy wynalazek, sam je zażywam.

Zostawił pudełeczko i z niecierpliwą powagą wyszedł, zamykając drzwi.

Marysienka rzuciła się za nim ku drzwiom. Słuchała kroków jego po korytarzu, szedł wprost i coraz prędzej, ale głośno z ciężarem namiętności, w kierunku swego pokoju. Marysienka zaczęła liczyć do sześćdziesięciu. Potem jeszcze raz powtórzyła liczenie, chcąc tym sposobem zahamować niecierpliwość.

Wyslizgnęła się z pokoju.

Przy ścianie, jak duch bezcielesny, skradała się ku drzwiom pokoju męża. Doszła bez szelestu. Drzwi były zamknięte.

Za drzwiami, w pokoju, szeptano. Głos Joasi, głos Edouarda, potem ucichło.

— Podły! — wyrwało jej się z głębi duszy. Ale w tej chwili przypomniała sobie, że była na chwilę wolna. Niema czasu do stracenia. Pędem wybiegła z pałacu.

Już dniało. Chwyciło ją zimno, zatrzęsła zębami. Dobiegła stawu, łódki. Przeprowadziła się na wyspę.

— Dopalam już piętnastego papierosa — rzekł Jan.

Przeprawili się na tamten brzeg, a Marysienka nie mogła odmówić sobie, aby nie odprowadzić Jana do sztachet. Przytem chciała się wygadać.

— Czy chcesz wiedzieć, w jaki sposób stało się, że mogła do ciebie powrócić?

— Zadałaś mu opjum?

Opowiedziała wszystko z dodatkiem:

— Jacyście wy podli!

Jan zaśmiał się.

Historja jak w Odysseji. Zalotnicy samotnej Penelopy, nie mogąc rozkochać pani, wzięli się do służebnic.

Brutalny śmiech Jana dotknął Marysienkę.

— Tybyś zrobił tak samo!

— Może ze wszystkimi, ale nie z tobą. Ty jesteś najpiękniejsza, jedyna...

Zakończył pocałunkiem.

— Jak ty czelnie kłamiesz! Ach, kłam już, kłam...

Ale zorza wchodziła już na niebo różową chustą, więc musieli się rozstać.

Pamiętaj, co rok, w ten dzień, na wyspie Słowików będziemy się spotykali i odnawiali wiosnę. Gdybyś się z dobrej woli nie stawiał lub zapomniał, lub obawiał się, Marysienka zaśnie od morfiny! Daję ci na to słowo.

— Ja też, Marysienko!

— Bądź zdrow i pamiętaj!

Bądź piękna i pamiętaj!

On po drabinie przeszedł z parku na pole, gdzie Nero z okrwawionym pyskiem posilał się młodym zajęczkiem w półsennych oparach ginącej mocy.

Ona zerwała jeszcze po drodze wiązanekę z dzikich, kłujących róż i śmiało weszła do pałacu. Kwiaty wstawiła w wazon przy łóżku i przy nich usnęła. Tylko ciało w mocnym śnie drgało na poręczy wężowemi skręty, jakby drażnione wschodzącym słońcem.

Badania i pomiary
On po długim niezachł z partii na pole
Których było - zwracając uwagę na
Którym miejscu w polach ogrodnich gniazda
są.

Ona została - została na drobne wiadomości
z dalszą - dalszą - dalszą - dalszą - dalszą
Których zostało w wazonach - wazonach - wazonach
głównie. Tyko - Tyko - Tyko - Tyko - Tyko
Których zostało w wazonach - wazonach - wazonach
Których zostało w wazonach - wazonach - wazonach
Których zostało w wazonach - wazonach - wazonach

C A R O T I.

Caro ti.*

Rwantura.

*Księżyc wypłynął z morza
Na pierściach usniętej fali.
Ognistym kręgiem się pał,
Blednie, to zabłysł na nowo.*

*Księżyc zalewa morze
Strugami z złotego cobra,
To znów w potokach srebra
Żegluję nad naszą głową.*

*Gwałdy wieczorne przemoże,
Więc wszystkie w zachodnią stronę
Uciekają zawstyżone
Milczące i.. bezchowel*

Wenecja przeżywała karnawał, tłusto, pojno,
cizebnie, z małmazją i z fantazją. Była noc baśni,
w której człowiek szalał, a morze spało.

*) „Caro Ti.” w narzeczu weneckim znaczy „mon cheri”,
po polsku najbliższej „mój najdroższy”.

Lud świętego Marka nakarmił gołębie, odpuścił ptactwo do złotych kopuł bazyliki, a sam, w maskach i półmaskach, rozpostarł się po placu. Dano mu już świeże, pachnące ciepłą krwią mięso: wielkiego byka i dwunastu wieprzów, opasionych kukurydzą, a zabitych ku łechcącemu wspomnieniu przodków.

Oto, w połowie stulecia 11-go, zdradziecki Ulrych, patriarcha Akwilejski, łamiąc sojusz, zajął był wenecki gród Grado. Wiarołomcę, rzeczono go patriarchę Ulrycha, wraz z dwunastu kanonikami sam Bóg pokarał, a święty Marek wziął do niewoli. I byliby oddali nieprawie łby pod siekiere na piazzę weneckiej, gdyby nie wstawił się był za nimi sam Ojciec Święty. Iż się wstawił, rząd Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, dbały o błogosławieństwo stolicy Apostolskiej, odesłał księży do domu z żywą głową na tułowiu. Ale pod pieczęciami z najczerwieńszego wosku, jaki był w Wenecji, musieli się byli zobowiązać, że co rok na tłusty czwartek, na przypomnienie swego ohydneho wiarołomstwa a siły przemożnej Świętego Marka, dostarczą Wenecji daninę, z jednego byka i dwunastu wieprzów, A byk i wieprze miały być tłuste, aż do dołka, pasione kukurydzą.

Już lud podzielił się mięsem, a Doża z Radą w pałacu książęcym żelazną maczugą porozbijał małe domki drewniane, niby fortece Friulu.

Wenecja rozpoczynała noc karnawałową.

W rio, u bocznych schodów pałacu Contarinich stała cicha barka. Gondoljer siedział na kamieniu z nogami, opuszczonymi na krawędzi i palił fajkę. Nałożył był już trzecią, czekał długo i spluwał.

Szczęknęło, obejrzał się. Czarna maska kobiety ze zreżnością kotki skoczyła do barki.

— Piazzal—rozkazała.

— Signora! —

Wpłynęli na wielki kanał, na którym gonili się gondole z latarniami — czerwone, żółte, białe robaczki; śpiewano rozkosznie. W wielkich pałacach było już ciemno, jedynie przed wejściem głównem kopciły olbrzymie smołowce. „Biondina in gondoletta“ — pieśń bawiącego się ludu płynęła po wodzie ku sercu miasta, ku kopule Świętego Marka.

Dama z pałacu Contarinich, była przebrana za dziewczynę z ludu.

Miała stanik szkarłatny, jedwabną spódnicę w kwiaty, fartuszek perski, złoty łańcuch na szyji, w uszach dwa olbrzymie turkusy w złotych oprawach, pstre wstęgi na głowie i u pasa, białe sandały na małych stopach. Odwróciła się od gondoljera i zdjęła maskę. Patrzyła w księżyc, księżyc na nią. Rudawa blondynka z czerwonymi wargami, czarnooka, miała ślady piegów, gryzła karmelki z miętą i anyżkiem. Podobała się księżycowi

i wziął jej postać: w przechodzeniu obłoków, ukazała się Carlina, płynąca w nieskończoność.

Dobili do brzegu. „Czy mam czekać? — zapytał gondoljer.

— O! nie! — W wykrzykniku i w zaprzeczeniu tem przemówiła namiętna rozkosz kobiety, która nie myśli o powrocie. I jeszcze coś więcej. Nieznane, co ją ma tej nocy spotkać! Ewa podchodząca do drzewa świadomości.

Niccolo miał czekać na nią w kolumnadzie wiodącej na ulicę St. Moise.

Przepychała się przez tłumy, zepchane na placu Św. Marka, chichoczące, wrzeszczące, drżące w febrze zabawy. Ujmowano ją pod brodę, zapraszano na małmazję, witano z zaczepką, przyciskano do muru. Rozpychała się śmiało, biła mężczyzn, po rękach, odpowiadała śmiechem, arlekina odepchnęła, mattacino rzucił w nią kilka jajek, napelzionych perfumami i wodą lewantyńską, od kogoś dostała ponsową różę. Szukała Nikola.

Znalazła go wreszcie, rozpartego o kolumnę Prokuratorji, z podniesioną maską, wpatrującego się w tłum krążący.

„Caro ti“, szepnęła i uderzyła go w usta różą.

„Carlina“! —

Wzięli się pod ramię. Szli razem, przycisnęli się blisko.

— Carlina!

— Niccolo!

Peszli w ulicę, w zaułek, podnieśli maski: ona swoją czarną koronkową, on białą atlasową i ocalowali się. „Jeszcze“, trzymali się, nie mając sił rozerwać ust w słodyczy.

— Pójdziemy do Ridotto? — zapytał Niccolo

— Dobrze! — tam jest najlepszy krem i ciastka.

— I wino.

— A potem? — zapytała słodko.

— Potem Carlina pójdzie do mnie, odprawilem służbę na małmazję, niema żywego ducha.

— Nie, kochanku, Carlina ma własne łóżeczko u znajomej i tam zaprasza swojego Nikola. Carlina nie wierzy mężczyznom. „Cale dei Fabri“, czwar-te drzwi od strony Rialto, na piętrze, masz tu klucz bo może wypadnie nam się rozłączyć! Tam czekasz na mnie.

— Mamy się rozłączyć?

— Może... nie wiem, co się może zdarzyć. Zingara wróżyła mi wczoraj, że spotka mnie coś nadzwyczajnego.

— Daj mi rękę. — Niccolo wziął dłoń Carliny i wsunął ją pod płaszcz, do pasa.

— Co czujesz? — zapytał.

— Sztylet!

— Dobrze, już zrozumiałaś...

— Daj mi go.

— Nie.

— Jeżeli mi nie dasz sztyletu, nie dam ci klucza. Ty masz jeszcze szpadę, a ja nic, jeno te dwa złote turkusy.

Niccolo musiał być przystać. Carlina schowała nóż u pasa. Niccolo wziął klucz.

— Czwarty od Rialta, dei Fabri, na piętrze?

— Tak!

Zamaskowani weszli do Ridotto.

Wielka sala gry, wąska a niezmiernie długa, była pełna ludzi: środkiem, nieprzerwanym pasem, ciągnęły się stoły. Grano w kulki, w kości i w karty w biribisse, w basette, w pamfila, w faraona. W przeciwieństwie do wrzasku na Piazzę, tutaj była cisza. Ale czaiła się namiętność, gorączka, jak żbik do skoku. Szybki oddech ludzi i języki ogniste świec woskowych grzały powietrze do duszności.

Niccolo i Carlina, posiliwszy się wyborną bitą śmietaną i tortem weneckim, upojeni kanaryjskim muszkatem i winem z Cypru, przypominającym słodycz warg, przypatrywali się grze. W jednym tylko miejscu około bankiera była pustka. Z talją kart siedział Pantaleone, król karnawału, w czerwonym kaftanie, zrzuciwszy swą długą czarną suknię, w cielistym przyprawnym nosie, i zapraszał do faraona. Przy nim leżały stosy cekinów wygranych, bo wszyscy, którzy się jego banku byli dotknęli, wkrótce odchodzili zgrani.

Dojrzał Niccola i Carlinę, zaczepił ich:

— Hej, cavaliere, przekonajcie się, czy signora was kocha? Jeżeli wygracie, to zazdroścę wam tych soczystych pomarańczy, jeżeli zaś przegracie, to kupię ją od was za solda.

— Macie pewnie fałszywe karty, jak i nos — odparł Niccolo.

— Pozwolę wam zebrać talję, no, kocha was, czy nie kocha?

— Spróbuj — rzekły przez maskę czarne oczy Carliny.

Nikolo rzucił cekina na kartę. Przegrał. Rzucił dwa — przegrał.

— Diavolo!

Cztery, osiem, szesnaście, cały zielony woreczek do dna. Pantaleone zgarniał dukaty, a Nikolo w olbrzymich lustrach na ścianie widział ciągle wielką jego gębę i cielisty nos.

— Czemu Carlina go nie kocha?

Stali obok siebie w niepewności, w żalości. Niccolo miał pretensję do Carliny, że go nie kocha, Carlina zaś do Niccola: oto przegrał przez to, że jej nie wierzył.

Carlina była podrażniona.

— Czy nie przyjmujecie, panie, kamieni? — pytała Pantaleona.

— Owszem, przyjmuję wszystko, co jest piękne, z wyjątkiem pięknych słów — odrzekł bankier.

— Oto macie tę parę turkusów — odpięła kolczyki z uszów i podała Pantaleonowi, który je z drwiącym błyskiem oczu obejrzał.

— Widziałem taką samą parę u wnuczki pewnego admirała, który był pod Lepanto. Jesteście, signora, z dobrego domu.

— Oceńcie — rzekła szybko Carlina.

— Sto cekinów.

— Stawiam turkusy na króla czerwienego; teraz ja pragnę przekonać się, czy on mnie kocha — powiedziała, podając Nikolowi serdeczny palec do pocałowania.

— Carlino!

— Czy mnie kochasz? Ciągnijcie karty!

„Perduto“ — wykrzyknęli liczni widzowie, którzy zbiegali się do stołu. Pantaleone wziął turkusy i obracał je w palcach. Wszyscy patrzyli z ciekawością na parę, na Nikola i na Carlinę, którzy stali bezradni, oszołomieni biegiem rzeczy. Widocznie sam djabeł siedział w sprawie.

Tylko Pantaleone nic sobie z niczego nie robił. Zwrócił się do Carliny.

— Signora, jeżeli podniesiecie maskę i ukazecie nam tu obecnym swoje lice, które musi być czarujące, to w imieniu Świętego Marka i najjaśniejszej Rzeczypospolitej naszej oddam ci turkusy.

— Brawo! Pantaleone brawo! widzowie huknęli

z zadowolenia. A była już wielka ciżba i obstarpił gęsto Carlinę i Nikola.

Carlina odrzuciła.

— Głupiec! —

Pantaleone stropił się na chwilę, ale zbit się nie dał.

— Nie takim znowu głupi, jak mówicie, signora, skoro poznałem się na waszych wdziękach i na waszym rozumie. Hej, przepióreczko! widzisz te rulony dukatów; ważą tyle, że mogłabyś za nie kupić sobie za męża djabła, albo samego dozę. Postaw samą siebie na kartę, to wszystko będzie twoje.

— A jeżeli przegram?

— To ja wezmę ciebie.

— Cóżbyście ze mną robili — rzekła, wyzywająco Carlina.

— Byłabyś samiczką, a jabym ci śpiewał — cip — cip, gru — u, cip — cip, gru — u! Lepiej, niż ten twój szczygieł, który, jak sama przed chwilą doświadczyłaś, wcale ciebie nie kocha. Namysł się. Nigdy złoto nie było potrzebniejsze, niż w tej chwili.

— Czy myślicie, że się was boję!

Zaszła chwila milczenia. Carlina czuła na sobie wszystkie spojrzenia, podniecające ją, żądające od niej, aby spełniła coś, coby zabawiło otoczenie maskary. Doczuwała się cichej, śpiącej groźby

w postawie gromady, gdyby śmiała była odmówić Pantaleonowi. A krew krążyła w niej szybko po muszkatelu i winie cypryjskiem. Więc na wpół wyzywająca, wyrzuciła z siebie kaprys.

— Dobrze!

I bystro jak jaskółka, zanim Niccolo mógł jej być przeszkodzić, wskoczyła na stół gry. Postawiła stopę w białym sandałku na karcie, na królu sercowym. A gdy nóżka o trochę, o koniuszerek środkowego palca, wystawała poza kartę, lekkim ruchem kolana zrzuciła pantofelek w górę, w sam nos cielisty Pantaleona, który się splaszczyl.

— Ciągnijcie! — zawołała.

Wtedy stopa Carliny w jedwabnych, niebieskich, srebną nicią przetkanych pończoszkach, zmieściła się cała na królu sercowym.

— Piccolina (maleńka) — wrzeszczały maskary.

— Ciągnąć! wrzeszczeli inni.

Pantaleone zaczął kłaść karty! Carlina przegrała.

— He! he! Brutalnie rzucił talję na stół, wyciągnął ku Carlinie ręce. Maskary się zasmuciły, z wyroku losu niezadowolone.

W tej chwili ku Carlinie rzucił się Niccolo. Rozpychał i krzychał „*via*” — precz! Wskoczył na stół. Z drugiej strony stanął Pantaleone, a między obydwojma znalazła się Carlina.

— Precz!

— Precz!

— Moja!

— Moja!

— Corpo.

Ale maskary stanęły po stronie Pantaleona. Arlekini krzyczyli: „*carnevale!*”, domina kobiece pisać: „*libertà!*” Niccola ujęli z tyłu za ręce, za nogi, ściągnęli ze stołu. Nie widział już Carliny. W chaosie głosów dosłyszał jej wysilony głos:

— Caro ti, „*aspetta*” (czekaj).

Zdawało mu się, że jeszcze raz: *aspetta!* Tłum ściskający nie pozwalał mu się ruszyć. Arlekini palcami pokazywali mu rogi, inni szczypali go, gdzie się dało, inni strzelali boleśnie grochem. Obezwładniony rzucił się na ławę. A gdy tłum obok niego przeredział, gdy ujrzał jaką maskarę, wpatrującą się weń uporczywie, zakrzyknął:

Que guardista? (*czemu patrzysz?*). I dobywszy szpady, wściekle rzucił się ku natrętnej masce. Lecz ta uciekła.

Uspokoiwszy się, Niccolo przebiegał sale Riddotta, poszukując Carliny. Nie spotkał jej nigdzie.

— *Aspetta!* — uczeplił się myśli, że ona przyjdzie tam, na *calle dei Fabri*. Poczul w kieszeni klucz. Carlina ma tej nocy należeć do innego! Gotów jest przebić komu brzuch, a nie dać!

Przechodził przez piazzę, gdzie lud w kółkach, korzystając z księżycowej i ciepłej nocy, tańczył furlanę przy rytmie skrzypiec i szpinetów. Od codegi (przewodnika) kupił latarnię i zapuścił się w ciemne uliczki. Doszedł do Bembo i stamtąd nawrócił. Czwarte drzwi klucz otworzył, Niccolo wszedł.

Na piątze drzwi nie były zamknięte. Przez przedpokój trafił do dużego pokoju, obitego materją ze złotymi lambrekinami. Na środku stał stół okrągły z siedmioświecznym pajakiem, podtrzymwanym przez brązową syrenę. Także butelka z białym musującym winem z Francji i dwa kieli chy muraneńskie, podobne do rośliny digitalis. Przyświecając latarką, szybko przeszedł do drugiej stancji, zasłoniętej zieloną kotarą z wielkimi kutasami. Tu była sypialnia. Łóżko z baldachimem szerokie, niemal kwadratowe, z karmazynową kapą, naprzeciw w niszy figurynka Madonny z niebieskiej gliny, oświetlona czarą płonącej oliwy. Tuż stolik z dziesięciobarwnej mozaiki, gdzie leżały ołówki i mazie barwicznikowe, żelazka, tureckie wody i olejki lewantyńskie. U dołu naczynie fajansowe z naguskami, zraszającymi grzędy kwiatów. Naprzeciw kotary, wielka, kuta srebrnym brązem, oliwkowa szafa.

Niccolo pomyślał: „oto Carlina dobrze umyśliła schadzkę.” Jestem w mieszkaniu jakiejś damy, niewątpliwie zapisanej złotem i wielkimi głoskami

w księdze dziewic publicznych Rzeczypospolitej Świętego Marka”.

I czuł coraz silniej i silniej lubież zapachu, zionącego z tej oranżerji zmysłów. Tem nieznośniej nudziło go oczekiwanie. Umyślił, że w razie potrzeby ukryje się w sypialni, w szafie.

Wyszedł na schody, nasłuchiwał, czy kto nie idzie? Przerzywał sobie, klęcząc na grę, na Ridotto, na rząd Rzeczypospolitej. Gdy wejdzie do Rady Pięcuset, on Niccolo, patrycjusz i patron ludu, zażąda w imieniu tego ludu zniesienia Ridotta, jako siedliska zarazy. Nie on pierwszy ze złotej młodzieży Św. Marka zgrał się; byli tacy, którzy poderżnęli sobie gardło brzytwą; byli inni, których Ridotto zaprowadziło do Piombo, gdzie gnili. Diavolo!

Drzwi od ulicy zgrzytnęły. Niccolo prysnął do sypialni i ukrył się w szafie, przycisnął twarz do spódnic, pachnących pocąciami się perfumami. Szafa tak stała, że przez rozsuniętą kotarę mógł był widzieć, co się dzieje w drugiej stancji.

Ktoś wszedł. Niccolo poznał wyraźnie głos od picia nieco schrypnięty — Pantaleona. Śpiewał O mie tette rosse! (O grona moje czerwone).

Wenecjanki nawet piersi barwiły różem,

Carlina śmiała się srebrnie, rozkosznie.

Zapalili siedmioświeczny pajak. „Uno, duo, tre...” liczył Pantaleone. Było widno.

— A tutaj moja sypialnia. Carlina rozwinęła kotarę... Carlina była w masce.

Pantaleone wsunął wielki nos do stancji. Pierwszy wzrok jego padł na białą maskę, leżącą przy szafie, którą, demaskując się, upuścił był Niccolo. Schylił się, aby podnieść. Uprzedziła go Carlina rzucając maskę do szafy, rzekła:

— To maska mojego męża.

— Jakto? macie męża.

— Jestem uczciwa dama. A wy co myśleliście? Mąż mój pojechał do Padwy po zakup wina. Niby na dwa dni, ale pewnie, jak zawsze, powróci wcześniej, bo jest o mnie zazdrosny.

— Głupiec! Nie pozwala zapalać fajki od swego kominka, boi się, aby mu ognia nie ubyło.

— No — zdejmijcie maskę, bo już dosyć miałem cierpliwości.

I gwałtownie posunął się ku Carlinie. Ta odskoczyła w oka mgnieniu, wzniosła sztylet.

— Nie gwałćcie — nalejcie lepiej wina, wypijemy za zdrowie mojego męża.

— „Ecco idea“! doskonała z was kobieta.

Pantaleone nalał musującego wina w kielichy i trącił się. On usiadł na stołku i jakby sapał ze znużenia i z chuci. Carlina figlarnie stała przed nim, śmiejąc się i trącając go pantofelkiem.

Naraz poskoczyła do sypialni. — Zobaczcie!

ccolo, duszący się w szafie, niespokojny i rozdrażniony, widział dokładnie, jak Carlina zaczęła się rozbierać. Zrzuciła suknie i parady, została w pantofelkach, pończochach i koszuli. Włosy rozpuściła długie, zakrywające linję grzbietu i nizej, aż poza biodra. Maski nie zdjęła.

— A co się stało z tym gagatkiem, któremu w Ridotto opróżniłem kieszeń? — zagadnął z drugiej stancy Pantaleone, tknięty nieokreślonym przezcuciem.

— To mój sigisbeo; widział, co najwyżej, moje pantofelki.

— Jakiś głupi chłopak.

— Si, si, si! — Carlina nuciła.

Staneła w progu obu stanc, pomiędzy Pantaleonem, który wstał, pożerając oczami kobietę. a Niccolem, powstrzymującym się ledwie, aby nie wyskoczyć z szafy. Ręce skrzyżowała na piersi, jakby bierna i bezbronna, gotowa oddać się każdemu, kto po nią sięgnie.

Pantaleone próbował chwycić Carlinę. Szafa głośno zaskrzypiała. Ruchem węzowym Carlina wyslizgnęła się tamtemu i zrzuciła ze stołu pajak ze świecami.

I, w ciemności, krzyknęła.

— „Maritto“! mój mąż!

Po chwili ciszy... ktoś głośno uciekał po schodach, trzasnął drzwiami od ulicy. Ktoś schował się

napowrót do szafy, która skrzypiała. Był to Niccolo.

Carlina wybiegła zamknąć drzwi na klucze. Powróciwszy, zapukała do szafy cichutko.

— Caro til

Nikt nie odpowiedział.

— „Wychodź”.

— Twój mąż? — odrzekł szept.

Carlina zaśmiała się. Śmiał się i Niccolo.

Zdjął maskę Carlinie i pocałował ją głęboko aż do serca.

Doleli oliwy do czarki przed niebieską Maddonną, bo była prawie sucha.

Nakoniec byli szczęśliwi.

Dlaczego nie odebrałem sobie ż ycia?

Była chwila, gdy poczułem już na skroni lekkie zimno lufy rewolweru. Palec jeszcze powoli, jakby odwlekając, szukał cyngla. Wtedy stało się coś arcyzabawnego, co zmieniło zupełnie kierunek mojej woli. Dzięki temu żyję, od czasu do czasu niewiem niezłe chwile przyjemności, a co najważniejsza mogę pozostawić ludzkości to opowiadanie, niby dokument dla ludzi, mających zamiar pozbawić się życia ze względów melancholicznych.

Bo źródłem mojego ostatecznego postanowienia była właśnie melancholja. Z przeróżnych ziarn przez jasnie wielmożne życie posianych, wyrasta melancholja; moja wyrosła z żalu. Ogarnął mnie był taki straszliwy żal do ludzi i do świata o to, że straciłem zupełnie poczucie rzeczywistości zamiast miliona milionów kształtów i barw, jakimi otacza nas codziennie przyroda, widziałem, ra-

czej czulem tylko ślepemi oczyma czarną, bezdenną przepaść, w którą się mam zapaść.

Przyszło to, oczywiście, nie odrazu, ale stopniowo, jak ból zęba, przez okresy ćmienia, zanim zarwie mocno, aż się krzyknie. I przyszło, prawem najodleglejszego rozbiegunowania uczuć, nie w porę roku martwą i smętną, lecz wśród rozkoszy budzącego się życia. Śmiertelne przygnębienie mojego egoizmu przyniosła mi ona—wiosna, wraz z wezbraniem wód i potopem zieleni. Zabijam się na przekór ludzkości i przyrodzie, przez wzgardę! *Vae victoribus!*

Wybrałem broń—ani trucizna, ani wisielec, ani topielec, nie lubię rodzajowości, umrę jak klasyk—żelazo, rewolwer. Wziąłem browning z miękkim spustem; wystrzeliłem co najmniej dwadzieścia naboików z rzędu, aby się przyzwyczaić do huków i to mi, w wyobraźni, ułatwi ostatnie pociągnięcie. Każda nowość, do której nie przyzwyczailismy się, jest szorstka, a przecież chwila przejścia do nirwany, czy nieba, czy piekła, czy tego, co tam jest, posiada ton arcy miękki, jak żałosne organy z aksamitnymi klawiszami.

Jako prawy Polak w kołpaku próżności umrę z gestem. Nie znajdą mnie na podłodze w czterech ścianach, w kamienicy, gdzie zrobiłbym reklamę tej hienie, która mi cztery razy podwyższyła komorne, gospodarzowi. Gotów byłby chwalić się

„w moim domu umiera się bez kosztów lekarskich”. Ani na kamieniu brukowym. Niechaj te krople krwi, które spłyną ze skroni, wsiąkną w tłustą rozmarzoną ziemię, którą, jako mały chłopiec, deptałem zwycięsko bosemi stopami.

Ale były to głębokie resztki uczuć i szczątki instynktu w ciele już zmechanizowanym. Wyszedłem z domu na miasto tylko z linią kierunku, bez poczucia mrówczego ruchu środowiska. Martwe wody melancholji zastygły na mem czole w wypukły pancerz, obciążający bezwładem. Nie widziałem na okół prawie nic; w świetle nocy ulicznej snuły się gromady cieni. A słuchu już nie było.

Do nozdrzy doszedł jeszcze zapach wilgotnej ziemi, byłem w publicznym ogrodzie. Osunąłem się na ławkę ciężko. Pamiętałem jedno, że przyszedłem tutaj, aby się zastrzelić. Zresztą było mi wszystko jedno. Największą rozkoszą byłoby się teraz wcale nie ruszać.

Zdawało się, że już wszystko skończone, to czego należało dopiero dokonać. Ręka leniwie skradała się do kieszeni, do rewolweru. Poprzedni rozkaz duszy walczył z terazniejszą jej biernością. Ręka z wysiłkiem niosła broń.

Jednakże do skroni ją doniosła. Świty przeleciały mi w mózgu...

„Głupstwo, paniel“ — ktoś wrzasnął mi nad uchem. Ręka z rewolwerem opadła, podniosłem się cały z ławki.

Człowiek jakiś siedział na drugim końcu ławki, a wysunąwszy długą figurę, niemal dotykał mnie twarzą.

I on stanął. Byliśmy naprzeciw siebie, ja i on, przerastający mnie co najmniej o głowę. Noc była dosyć jasna. Na ciele chudego wielkoluda sterczała duża koścista twarz z kołtunami, głęboki grymas, uśmiechający się złośliwie. Był obszarpany od dołu do góry.

„Chciałeś palnąć sobie w łeb, he, he!“ — Zaśmiał się.

Byłem jakby przebudzony z głębokiego snu i nie zdawałem sobie nawet sprawy z tego, że obszarpany wielkolud mnie tykał. On zaś, korzystając z mego zakłopotania, bez ceremonji wziął mnie za ramię:

„Od kilku tygodni wieczorami szukałem na próżno samobójcy. Dopiero dzisiaj spotkałem ciebie, co za szczęście! Daj papierosa.“

— Nie palę — rzekłem, odsuwając się od figury.

— Szkoda! A cóż pchnęło ciebie, do puknięcia? He, he, kobieta?...

— Nie zgadłeś pan, to przez kanalję...

Przychodziłem już do siebie, ale tem bardziej

czułem zabawne położenie, w jakim się znalazłem wobec człowieka, dzięki któremu jeszcze żyłem.

— Kanalja? Przez obrzydzenie do samego siebie? Wyglądasz na to, że mogłeś być zbrzydnać sam sobie. Bo poza tem, czego ci mogło brakować?

Obszarpaniec wyprostował się, a kij uniósł zapęciem ku gwiazdom.

— Czy masz taki cylinder na głowie, jaki ja mam, bezdenny, bo bez dna?... Czy masz koszulę tak doskonale idealną, że niema jej wcale? Czy masz spodnie, niewiele młodsze od egipskiego sfinksa z dwoma słońcami na kolanach? Ale nie zazdroszczę ci niczego, powtarzam: „niczego“ i gotów jestem zaprzysiąc to honorem, oprócz jedynej rzeczy. Zazdroszczę ci tego rewolweru, który cię czyni doskonałym panem własnego życia...

— Czy nędzę pańską naprawdę stać na odczucia moralne? — zapytałem z zakłopotaniem, — Wielkolud nie dozwolił mi, abym skończył zdanie. Przerwał deklamacją:

Trzy razy miesiąc odmienił się złoty,

Jak ja na piasku rozbiłem namioty...

Straciłem wszystkie kochania, bom je tak wybrakował kamieniami egoizmu, że nawet zielsko przestało rosnać.

Straciłem wszystkie przywiązania, bom dbał o nie tyle, ile młody chłopiec o pielęgnowanie zeńców. Za wiele gryzłem.

— Straciłem hono
— Straciłem majątek.
— Straciłem imię.
— Straciłem przyzwoite ubranie, aż do chu-
tki od nosa,

— Zostało mi, niestety, ułomne dziecko, sie-
rota, jak ciężar — sumienie. Włóczę się z niem od-
dawna po miejscach publicznych, aby spotkać oso-
bę, któraby mi z litości dała rewolwer. Oczywi-
ście tylko po nocy, gdyż w dzień w tem ukostju-
mowaniu stróże bezpieczeństwa publicznego nigdzie-
by mnie nie wpuścili. Uratowałem ci życie, czy
twój rewolwer nie powinien być moim?

— Ja nie prosiłem pana o interwencję. Prze-
rwałaś mi doskonałą chwilę rezygnacji, która z tru-
dem przychodzi. Będę musiał rozpocząć od po-
czątku.

— Pluń na tę śmierć; masz czas, jeszcze do
niej nie dorosłeś. Ja co innego, ja może już prze-
rosłem. Czasami można przegotować wodę, prze-
studzić lód. Proszę cię, daj mi rewolwer.

— Gdybyś pan na serjo miał był zamiar odebra-
nia sobie życia, byłbyś to był już dawno uczynił—
innym sposobem.

— Dobryś! Miałem kończyć jak cham lub ko-
bieta. Jestem szlachcic. Więcej niż szlachcic—bo hra-
bia. Więcej niż hrabia—bo książę. Jeden z przod-
ków moich zrobił znak mieczem na bramie Jeruzolimy.

Chrystel i ty mnie nie zbawiasz! A powiedz, dla-
czego i ty wybrałeś rewolwer, a nieten „inny sposób”?

Zacząłem się wahać. Obdartus stał na jakiejś
linji granicznej pomiędzy prawdą a nieprawdą. Nie
wierzyłem mu, ale wola jego naginała moja.

Więc bez przeszkody mówił dalej.

— Pierwszy ja, a potem jeśli się nie rozmy-
ślisz—ty. Nawet pójdzie ci przyjemniej. Gdy ja
na sobie spróbuję, instrument będzie lepszy, jak
ograne skrzypce, jak wino z myszką, jak bronz
opatynowany. Zresztą ja nie biorę od ciebie re-
wolweru na własność, ja go pożyczam. Daj.

— Proszę. — Wyciągnąłem rewolwer, on wziął.

— Dziękuję, jesteśmy na kwita. — Ucisnął
mi dłoń, czego nie mogłem wzbronić. Odszedł
kilka kroków, ale powrócił.

— Nie znam twojego adresu. ani nazwiska
W jakiz sposób mógłbym przekazać, aby po moim
zgonie rewolwer oddano tobie?

Powiedziałem mu nazwisko i adres.

— Doskonale. Teraz mam wszystko, czego
mi potrzeba. Na odchodnem powtarzam ci: nie
odbieraj sobie życia, boś jeszcze nie dorósł do śmier-
ci. Dopóki oprócz sumienia masz jeszcze całe buty,
żyj! I... nie oglądaj się za mną teraz, bobys się
zamienił w słup soli! *Chajrel!*

Ten człowiek umiał niegdyś po grecku

Oddalał się wielkimi krokami. Ale ja właśnie z ciekawości chciałem się zamienić w słup soli. Poszedłem za nim rączo.

Albowiem dusza moja powstawała z martwych. Coś się tam przekręciło, jak sprężyna zegarka, gdy za mocno naciśniemy. Wewnątrz powstawały fale wesołości, niedbania, pogody, apetytu do wrażeń. Uśmiechnąłem się z nieokreślonego zadowolenia. Krzyknąłem:

— Hej, panie, pani! — Pan ten nie odwrócił się, pędził, jakby nie słyszał. Może nie dosłyszał. Chciałem go zaprosić na przedśmiertną kolację.

Goniłem go wszakże zdaleka ulicami, gdzie przechadzało się wielu ludzi. Naraz stanął, obejrzał się. Było to przy placu św. Aleksandra. Nie mógł być mnie dojrzeć, bo w tę porę zasłoniła mnie gesta kompanja towarzyska. Wszedł. Ja poskoczyłem tam, chyłkiem, tuż przy murach, ale pędem.

Odszukałem go. Wielkolud był w piwiarni. Pomyślnym trafem biały gałgan, zastępujący roletę, opadł nieco i mogłem być, wspiąwszy się na palcach, widzieć co się działo wewnątrz. Izba była pełna mężczyzn w roboczym ubraniu i dymu z cygar. Przy stole wyszynkowym stał obszarpany wielkolud, rozmawiając z piwiarzem, który oglądał mój rewolwer. Przekomarzali się o coś, czy targowali, poczem klapnęli się trzykrotnie w dłonie. Gospodarz wyliczył dwa papierki, tamten pochwycił

cił je w dwa palce, i nie śpiesząc się, schował do kieszeni od kamizelki. Mój rewolwer stał się własnością piwiarza.

Wielkolud rozsiadł się na krześle przy stoliku i wyciągnął chude, bocianie nogi na izbę. Podano mu piwo, chleb i kielbasę. Łyknąwszy coś, zaczął rozprawiać i gestykulować; długie ręce jego jakby wykladały mechanikę niebieską, a dwa żarzące się węgle twarzy, para oczu czarcich rozplomieniały ruchy. Zasłoniła mi go kupa ludzi, którzy otoczyli go kołem, słuchając i trzesąc się ze śmiechu.

Kanalja był tu królem, jenerałem i prorokiem.

W pewnym momencie zerwał się i poskoczył do gospodarza. Wziął od niego (mój) rewolwer i, usadowiwszy się w pozie tragicznej, przyłożył go do skroni...

Skóra mi ścierpła, odwróciłem oczy, czekałem huku. Tamci, cała czereda, śmieli się do kiszek. Wrzask dochodził na ulicę, do przechodniów, tak, że ten i ów zatrzymał się.

Napróżno zmrzyłem oczy, huku nie było. Tamci śmieli się. Zrozumiałem, że wielkolud udawał mnie.

Bo za chwilę piwiarz zaczął stawiać pełne kufle i wszyscy z wielkoludem na czele, który wyrastał z nich, jak dąb z jałowców, wzniesli piwo do góry z ogromnym krzykiem.

Było to zapewne za moje zdrowie.

Pchnięty, jak kula bilardowa, przez potężne drgnienie życia, opuściłem okno piwiarni. Wstąpiłem do kupca, kupiłem butelkę szampana. Zosia, moja ostatnia przyjaciółka, do której nawet napisałem był śmiertelnie pożegnalny list, o tej porze bywa w domu.

Poszedłem do Zosi. Ona krzyknęła z przeraźliwej radości, że mnie widzi. Zostałem już u niej innego. Ale ów „inny“, czując się w niewygodnym położeniu mądrze wyszedł. Promieniałem tupetem niezwykczonym, przed którym kobiety czynią *jupon bas!* Zresztą Zosia była delikatna. Odczuła, że nieboszczykom należy się pierwszeństwo.

Spędziłem noc u słodkiej kochanki.

No more, no more! już nigdy! — jak zalił się Byron — nie doczekam poranku tak radosnego, jaki mnie spotkał nazajutrz.

Przyroda witała mnie hymnem, jak zmartwychwstańca.

Słońce pieściło ciepłem.

Kwiaty wyrastały na duszy.

Mięśnie przeżyły się do czynu.

U nóg nie czułem skrzydeł z wiatru.

A krew pieniała się pod łaskotką wyobraźni posmakiem nocy miłosnej, zwycięskiej i zupełnej.

Jakbym powtórnie narodził się na świat odradu dorosły. Nie jak niemowlę, ssące pierś mamki, lecz dojrzałe, ssący pierś świata świadomie.

A przemianę sprawiła jedna błyskawica oświetlająca piorun myśli.

Wdrożono mnie, wzwyczajono do poglądu, że ludzie pochodzą od bogów. Wychodząc z tego punktu, odczuwałem, w miarę doświadczenia, że fałszuję rzeczywistość i nabieram małych nałogów. Noc wczorajsza przekonała mnie, że człowiek pochodzi od małpy, a zatem ja mogę się wyróżnić i zostać bogiem. Uśmiecha mi się życie przez wzgardę!

Powracałem do domu upojony radośnie i soikiem życia, jak obfity owoc, nabrzmiąły. W rozlewie błogości nie pamiętałem o... tym, co mi wczoraj podniósł tajemniczą zasłonę ludzkiego bytu. Ale on o mnie pamiętał.

Dojrzałem go zdaleka, stojącego w bramie mojego domu. Podparł się na kij, obszarpany wielkolud, patrząc na świat tak, jakby się na nic nie patrzyło. Jasność dnia potęgowała wielce zniszczenie wiszących na nim łańców. Miał wszakże coś nowego: parę glansowanych świeżych rękawiczek, nieopisanie odbijających przy całym kostjumie.

Tym razem ja go powitałem pierwszy.

— Dzień dobry!

— Aa! jak się masz — ścisnął mi dłoń bez ceremonji.

— Jakto? żyje pan jeszcze, co mi zresztą bardzo przyjemnie — rzuciłem.

— Ha! mówiłem ci, że ja już ze śmierci wyrosłem. Los nie chce.. Weź mnie do mieszkania, a opowiem ci jak było. Nie zwykłem prowadzić dyskursów na ulicy.

— Proszę! — Wprowadziłem go do przedpokoju. Zrobił ruch, jakgdyby chciał zjąć palto, ale pod paltem nie miał nic... Otworzyłem drzwi gabinetu.

— Proszę, bez ceremonji, chociażby w kapełuszu, będziemy jak w kawiarni.

— Owszem!

Wielkolud rozsiadł się wygodnie na fotelu i wyciągnął nogi zupełnie tak samo, jak wczoraj w kawiarni. Rozejrzał się po pokoju.

— Niezła dziura; — rzekł — ja miałem lepsze. Oto, wyobraź sobie, wczoraj, gdyśmy się rozłączyli, spotkałem policję. Zrewidowali, zabrali twój rewolwer. Na dokończenie noc spędziłem w cyrkule.

— Tak?...

— Daj mi drugi rewolwer, tym razem powrócę do domu dorozką.

— Dobrze, ale stawiam warunek.

— Mów!

— Jeżeli zechcesz mi pan tutaj powtórzyć to, co wczoraj w piwiarni...

Patrzyłem nań ciekawie, on wzajem. Ani

drgnął. Przeciwnie oko jego zajaśniało tryumfującą beczelnością.

— Aa... widziałeś wczoraj. A co, czy nie zamieniłeś się w słup soli? rozweseliłem cię, nieprawdaż? Wyglądasz różowo. Bardzo mi przyjemnie. Czy wiesz, poco ja naprawdę dzisiaj do ciebie przyszedłem?

— Nie!

— Abyś mi przeznaczył stałą pensję za uratowanie ci życia.

Parsknąłem śmiechem tak głęboko, jak nigdy w życiu.

— Śmieję się a płacę! Uratowałem już dwudziestu trzech takich jak ty Weltszmerców dobrze ubranych (obszarpańców nie dotykam), a żaden się ze mną nie targował. Od ciebie żądam pięć rubli miesięcznie, płatne z góry każdego pierwszego, przyczem wymawiam sobie, że każdy trzydziesty pierwszy i trzydziestego poprzedniego miesiąca oraz dwudziesty ósmy luty może być uważany za pierwszy. Będę zgłaszał się do ciebie osobiście, przyczem opowiem ci o wszystkich innych tamtych idjotach, których uczyniłem mądrymi ludźmi.

— Namyszę się.

— Nie weźmiesz mnie na namysły. Ja nie jestem kandydatem proszącym o posadę. *Aut-Aut*. Albo zgodzisz się natychmiast, z wypłatą pierwszej raty zaraz, albo odejdę ztąd, życząc ci powrotu melanchonji.

Jestem tym, który ciebie wiąże ze światem, a arką przymierza pomiędzy tobą a mną jest pensja.

Wielkolud wstał. Ja położyłem pięć rubli na biurku.. Wziął je.

— Masz pewnie stare ubranie?

— Czy nie za małe?

— Daj! Z tuzurka zrobi się smoking. Ludzkość się kurtyzuje.

Otworzyłem szafę, wyrzuciłem dwa garnitury.

— Dobrze! A kapelusz? Będzie także za mały, mam bowiem głowę dwa razy większą od ciebie, ale... daj! Zamienię go na inny.

Wielkolud zwinął ubranie, przymierzył mój stary melonik, który osiadł mu na połowie głowy. Podał mi rękę.

— *Au revoir!* A wychodząc powiesił swój oleisty, bezdenny cylinder na kołku.

— Tę tradycję zostawiam tobie na pamiątkę.

Patrzyłem za drabem z żalem, jak gdyby mnie opuszczał ktoś naprawdę blizki, może bliższy, niż moi urzędowi. Los zawiązał na nas dziwny, ale naturalny węzeł.

Ulica przyglądała się z uciechą obszarpanemu wielkoludowi w glansowanych rękawiczkach i w drobnym kapeluszu na czubie łba. On szedł obojętnie naprzód, wielką stopą, jak gdyby okraczał świat. Zapewne śpieszył do piwiarni zamienić kapelusz.

Raz na miesiąc, według umowy, zjawia się u mnie po pensję i opowiada tajemnicze historie samobójców

ZBRODNIARZ.

Grzela posiadał gołębie, a wtedy Jędrzej ukradł kota...

Ptaki Grzeli były cudne, pierze miały z różnych kolorów, skrzydła i czuby na łebkach. Grzela cieszył się serdecznie, gdy, usiadłszy kupką na podwórzu przed stodołą, dziobały rozsypane ziarno. Strachnął je dla uciechy, a wnet zrywały się i, polatawszy po niebie, jak gdyby przez wstydlivość, obsiadały stóg Jędrzeja. Tam cieszyły się niezmiernie, dziobami rozstrzępając snopki, po troszeczku i troszeczku. Ponieważ pomagały im czarne gapy, tłukące się codzień po powietrzu, więc stożek wyglądał ze wszech czterech stron świata — jak obszarpaniec.

Gdy gołąbki na stogu ziarnem tak się tłusto pasły, Grzela niby na to nie patrzył, ale serce jego poglądało z zadowoleniem tak, jak gdyby to serce miało nie jedną, ale dwie pary oczów. Bo

Bez troski i bez grzechu przymnażało mu się dobra. Ze gołębie ziarna Jędrzejowego uszczknęły, nie było dlań winą. Ze ptak ma skrzydła do fruwania, dziób do wydłubywania, a do sądu nie chodzi, to tak już jest i będzie.

Gołębie na dostatniej pożywinie tłuszczały, gruchały i leżały się na pomysłenie. Co i raz Grzelina sprzedawała na targu młode gołębiątka, a kupowała je w miasteczku albo pani aptekarzowa, albo pani naczelnikowa poczty, albo czasami nawet księża gospodyni, gdy jegomość delikatniejszego rosółku na żołądek zapragnął.

Jędrzej patrzył na stóg codzien i coraz chmurniej. W stodole jeszcze miejsca nie było, więc zwięźć go nie mógł. Codzień krajało mu się serce goryczą, spluwał, nie mógł nic jeść, bo każda zacierka stawała mu kamieniem. Na nic były strachy ze zdartych butów, albo starych portek na drażu pokazanie, albo zabita i pod stóg podrzucona gapa, albo sidła, albo słomiany chochoł w czapie z kijem w rękawie. Na nic. I gapy były mądre, i gołębie nie głupsze. Głupi był tylko Jędrzej.

Bo nic nie mógł zrobić, był zły i wściekał się. Pewnego razu próbował przemówić do Grzeli, choć z góry wiedział, że nic z gadania nie będzie.

— Grzelo, jakże tam będzie z waszemi gołębiami?

Grzela, ma się rozumieć, nic nie pojmował.

— Albo co?..

— Mówię co do mojego stoga...

— A cóż ja wam poradzę?

— Czemu je wypuszczacie!?

— A słyszeliście, aby ptak w zamknięciu miał się mordować! Tożby zdechły. Gapy wam stóg oporządzają, nie moje ptaszki.

— Chyba, że się spotkamy w sądzie.

— A to pędzicie co tchu. Że wam Pan Bóg urodzajem dogodził i zboża zadosyc posiadacie, to takeście stwardnieli, że już i moim gołębkom spokoju nie dajecie!

Już gąpom Jędrzej byłby odpuścił, bo są własnością boską, ale na gołębie sąsiedzkie patrzeć nie mógł. Wybrał się do Biedankowa na poradę do adwokata Czarnej Kity.

Czarna Kita odpowiedział mu w te słowa:

— Jędrzeju! Ja wam skargi do sądu pisać nie mogę. Po co? Gołąb to jest ptak, to nie jest ani wół, ani koń, ani cielak, ani taki zwierz, co ucieka; gołąb wcale nie ucieka, on ma skrzydła, on fruwa jak gęś. Jego paść nie można. On się w kodeksie nazywa „siła wyższa“. Jego nawet wcale niema w całym kodeksie. Wy go możecie na stogu złapać i łeb mu ukreć, ale w sądzie nic nie wygracie. Czy wy macie dubeltówkę?

— Nie mam — odrzekł Jędrzej.

— Jeżeli wy nie macie dubeltówki — myślał głośno Czarna Kita, — to ja wam i tak coś powiem. A macie wy kota?

— Kota?

— No, kota, co łapie myszy.

— Kota zawsze mieć można.

— No!

— Co?

— Jeżeli on łapie myszy, to dlaczego on nie ma łapać gołębi?

— Juścił! — zaśmiał się Jędrzej, zrozumiałwszy rzecz. Zapłacił Czarnej Kicie za poradę i wielce rad wyszedł. Całkiem przejaśniło mu się w głowie. Czuł, że teraz mocniejszy jest od Grzeli. Nie tamten, lecz on będzie na wierzchu.

W radości udał się do szynku, kropnął gorzały i pojadł kielbasę. Kiedy jadł w hałasie i dymie, uszczęśliwion i z dobrą myślą, postrzegł wielkiego burego kota, który wyszedł z izby przyległej, gdzie były bety i dzieci Berka szynkarza, wskoczył na okseft piwa, przyległ i mrucał pod wąsem.

— Kiciuś!.. Kiciuś!

Tak zagadała dusza Jędrzejowa. Wpatrzył się w kota, jak w obraz. A gdy wnet przyszła mu do głowy myśl, że to jest kot żydowski, a zatem przynosi szczęście, zapragnął mocno... Nic go już powstrzymać nie mogło. Podniósł się do kota i poczęstował go odrobiną kielbasy. Kot chwycił mię-

so jedwabnym języczkiem. Jędrzej pogłaskał go raz i drugi po sierści, kot przeżył się i wzerkał.

— Kiciuś!

Poznawszy się z kotem, Jędrzej zapłacił za jedzenie i dybał na czas, gdy nikt nie będzie patrzył. A gdy czas ten przyszedł, chwycił kota pod sukmanę i uciekł.

Przypadł do wozu swojego, wsunął kota w worek, zawiązał i krzyknął: wio! Popędzał konika rażno, iż paliło mu się poza plecami i przed oczyma, w domu.

Dojeżdżając do wsi, dostrzegł gołąbki Grzelowe, gdy się na jego stożku raczyły. Było im widać dobrze, gdyż na nóżkach podskakiwały i pieściły się.

— Psia krew! — machnął ku nim biczem.

Lecz chrześcijańskie serce miał i powiedział.

— Dzisiaj im ostatnie wesele, niechaj użyją.

Przeto nawet nie spędził gołębi.

Jędrzej z Grzelą zamieszkiwali wspólnie jedno domostwo, każdy po połowie, a sienie mieli wspólne. Gdy się wszystko do snu ułożyło, Jędrzej wyjął kota z worka i wysunął się. Wlazł na strych, gdzie był gołębnik Grzeli w komórce, zamykanej jeno na patyk. Wpuścił kota...

Raniutko, niemal przed świtem, Jędrzej był już w swej stodółce i krzepko młócił jęczmień. Ale w duszy ciekawiło go i często wyglądał na podwórze. Co to będzie?

Do śniadania było całkiem cicho. Baby wydoiły krowy, a Grzela oprzątnął inwentarz, poczem nasmarował wóz. Domyślił się, że Grzelina ma jechać na targ?

Około śniadania w powietrzu zagadało. Grzelina wrzeszczała i wyprała chłopca po pysku. Jędrzej nie ruszał się ze stodołki, więc widział był to wszystko tylko zdala, a powodu nie mógł macnać. Dopiero dowiedział się wszystkiego, gdy Grzelina siadała na wóz z chłopakiem, który pojeżdżał. Oto wyniosła w rękę mały sznurek bitych gołębi. Jędrzej liczył je: mogło być osiem, albo dziesięć, a nawet i szesnaście. Kot sprawił się sumiennie.

W tej chwili Jędrzejowi coś się zapaliło w sercu i niemal razem coś zgasło. Chrześcijańskie serce miał, więc na widok takiego rozboju zrobiło mu się markotno. On chciałby był położyć dwa, trzy ptaszki szkodne, ale aż tyle naraz—wydało mu się za wiele. A gdy przypomniał sobie twarde serce i mściwą rękę Grzeli, to nietylko litował się, ale i bał. I niezdarnie walił cepami po klepisku.

Grzelina wkrótce odjechała z chłopakiem na targ, a niebawem z izby wyszedł Grzela, idąc ku swej stodole.

Jędrzejowi świat się zamroczył. Grzela trzymał pod pachą kota. Jędrzej widział, jak poszedł do stodoły, a za chwilę wyszedł bez kota.

— Powiesił go? — pomyślał Jędrzej,

Od tyłu skradnął się ku stodołce Grzelowej. Poprzez dziurę w wierzęjach spojrzął, ale niczego nie dostrzegł prócz ciemności. Zdawało mu się wszakże, że coś się żali. Wsłuchał się ciszej i naprawdę dosłyszał skarżący się miauk. Miauk ów był przyciszony, jak gdyby wychodził z pod ziemi lub jakowejś głębi. Nie było wątpliwości, że Grzela skrył kota w dziurę, przyłożył kamieniem albo innym ciężarem i żywcem pogrzebał, ale w taki sposób, żeby można było dosłyszeć miauczenie.

Jędrzej wiedział, że Grzela miał serce twarde, jak kamień w murze...

Nie wiedział, co począć; czy przyznać się do kota i zażądać od Grzeli, aby go wypuścił, czy udać, że o niczem nie wie. Powrócił do stodoły młócić jęczmień. Ale nie mógł sobie zradzić, bo ciągle słyszał ów miauk kota. A przytem gniewało go, że teraz znowu Grzela jest na wierzchu. Pod południe nie wytrzymał i poszedł do Grzeli.

— Kumie, wypuście kota—rzekł.

— A czy wasz?

— Mój—przyznał się bojaźliwie.

— Toście go nasadzili na moje gołębie.

— Nie, sam wlaźł!

— Oj! dobrzyście wy. Choćbyście mi za szkodę zapłacili, nie chcę. To ścierwo zdechnie, jakem chrześcijanin i katolik.

— Czy chcecie go zagłodzić!

— Niech miauczył — zaśmiał się Grzela.

— Sam go wypuszczę!

— Spróbujcie wyrwać kłódkę od stodoły. Pószlibyście do turmy za samowolę.

— To rakarze tak czynią.

— A ty, złodzieju! — krzyknął Grzela i chwycił za łopatę.

Gdyby nie Jędrzejka, która na tę porę stanęła pomiędzy nimi i rozjęła, byłiby się pobili. A tak nie uderzyli na siebie, lecz Jędrzej czem prędzej, na pieszo, polami a odłogami, lasami pośpieszył do Czarnej Kity.

Adwokat powiedział mu: „wygracie sprawę”. Obmyślił takiego świadka, którego Jędrzej miał pod stodółkę Grzeliną przyprowadzić, aby dosłyszał miauk kota, i Czarna Kita napisał skargę do sądu.

Do świetnego sądu gminnego w Biedankowie, mieszkańca wsi Niechluję, Jędrzeja (tu—nazwisko) skarga.

— Ja Jędrzej (tu nazwisko) mam kota, którego biegli ocenili na dwadzieścia pięć rubli. Sąsiad mój Grzela (tu nazwisko) samowolnie zamknął mojego kota w swej stodole, wsadził w dół, pokrył kamieniem i chce go zagłodzić! Proszę najuprzejmiej sąd gminny, aby zmusił rzeczonoego Grzełę do oddania mi kota, którego samowolnie, wbrew przepisom prawa i sprawiedliwości, zamknął w swej stodółce i ukarał go za pastwienie się nad zwie-

rzętami. Proszę również o zasądzenie mi kosztów sądowych. Za świadków i biegłych podaję (tu nazwiska).

Podpisano (za niepiśmiennego) obrońca prywatny, Czarna Kita.

Taką skargę na wielkim białym arkuszu papieru napisał był Czarna Kita. Jędrzej był całkiem zadowolony. Czarna Kita pobiegł z papierem do dobrze znajomego sobie sekretarza sądu, który sprawę wyznaczył na najbliższe posiedzenie, przyczem pozwy dla pewności dał zaraz Jędrzejowi, aby można było na pewno stronom niezwłocznie wręczyć.

Trzy dni miało upłynąć do sprawy. Przez ten czas w Niechlujach pomiędzy sąsiadami powietrze było parne. Kot miauczał w stodole, gołębie siedziały zamknięte w komórce, Grzela nie patrzył na Jędrzeja, a Jędrzej nie wierał na Grzełę. Baby gadały z sobą, ale także z grzecznością i politycznie, bez nijakiej miłości i chrześcijańskiego lubienia. Nikt nie wrzeszczał, nie pomstował, nie bił się, — było tak, jak pod chmurą.

Stawili się na sprawie: chłopcy, baby, biegli i Czarna Kita. Stanęli wszyscy potrzebni i niepotrzebni, oprócz jednego najważniejszego świadka, który miał być potwierdzić, jako słyszał na własne uszy, że w stodółce Grzelinej kot miauczy. Owego świadka podmówił był Grzela, aby się nie stawiał w sądzie, bo, jako z prawem obeznany, wiedział, że bez tego świadka sąd mu „nie da rady”.

Jakoż tak się stało. Sędzia zapytał Grzeli:

— Oskarżający twierdzi, żeście zamknęli jego kota w stodółce i pastwiecie się nad nim. Czy przyznajecie się do tego?

Grzela odpowiedział:

— Prześwietny sądzie, żebym tutaj, w tem miejscu sprawiedliwości, trupem padł, anim kota Jędrzejowego znał, anim go widział, anim go zamykał, anim się nad nim pastwił.

— Wobec faktu, że oskarżony nie przyznaje się do winy, a świadek najgłówniejszy nie stawił się, sąd sprawę odracza—postanowił sędzia.

Jędrzej podsunął się ku stołowi sędziowskiemu z niskim ukłonem

— Proszę prześwietnego sądu, jeżeli sprawę odroczyć na dwa tygodnie, a co najmniej na tydzień, to kot przez ten czas zdechnie. On już może nie żyw, bo miauczy coraz chrapliwiej, jakby już żywota dokonywał.

— Prawo na to nic nie poradzi—rzekł sędzia, lecz po chwili namysłu zwrócił się raz jeszcze do Grzeli.

— Człowieku, jeżeliście naprawdę zamknęli kota i głodzicie go, to poszukajcie w sobie sumienia, wypuście go.

— Kiedy o niczem nie wiem, panie sędzio—odparł Grzela.

— Przechodzimy do porządku spraw—zakonał sędzia.

Jędrzej wytoczył się z sądu na dwór, na ulicę, a za nim wszyscy od sprawy. Ruszały mu się w duszy przeróżne robaki, a ciemność panowała tam gęsta. Pomieszało mu się wszystko w głowie: gołębie, kot, sprawiedliwość, sąd, świadki, Grzela, Czarna Kita, krzyż na zielonym stole, złoty łańcuch sędziego, ów piękny czerwony murowaniec z wielkim napisem, dokąd tłoczą się ludzie, jak do ołtarza, a może i z większą ochotą, niż do ołtarza. Stał pod murem i zbierał porozpędzane myśli.

Przyskoczył doń Czarna Kita

— Coście bredzili sędziemu, że kot zdechnie. Trzeba, żeby kot zdechł. Grzela wam za niego dobrze zapłaci; może nie dwadzieścia pięć rubli, ale z piętnaście. Czy macie w stajni szczury?

— Były, ale się wyniosły.

— One były, a kot je zjadł, niema szczurów. Widzicie, to był złoty kot. Sąd może wam przyśądzić i dwadzieścia pięć rubli. Wasza sprawa jest czysta, jak nie wiem co.

Jędrzej z obrzydzeniem wysłuchiwał Czarną Kitę. Miał ochotę splunąć albo grzmotnąć żyda w pysk, ale gdy przypomniał sobie, że kot był kradziony: Berków, brało go rozżalenie i niemoc. Kobieta wzięła go za sukmanę i pociągnęła do wózka.

— Nu!

Grzelowie oboje również wyszli z sądu markotni. On, niby zacięty, ale gdyby go ktoś wziął

na kieliszek przemówił do wnętrza, byłby się dał przejednać. Baba rzekła doń nieśmiało:

— Możebyś go wypuścił.

— Ano co?

— Jeszcze ludzie wyzwą nas od rakarzów.

— Niech wyzywają psie krwie.

Baba była głupia i chłopa jeszcze mocniej, jak węzeł, zawiązała.

Przyskoczył do nich Czarna Kita.

— Grzelo, mnie się widzi, jako chcecie kota wypuścić,

— Jakiego kota, gdzie — kota?

— Nu, nie miejcie mnie za głupiego: ja gadam ze świadkiem, coście go dzisiaj odmówili.

— To co?

— Pocoście tacy hardzi! Wy kota nie wypuszczajcie! Ja wam radzę.

Grzela spojrział na Czarną Kitę ze zdumieniem. A potem wziął go przestraszony. Instynktem wzdrygał się, jakie ta rada przyniosłaby mu nie-szczęście. Spojrział bojaźliwie na żyda, który patrzył nań błyszczącymi oczyma. Czarna Kita wziął go poufale za guz od sukmany.

— Jeżeli kota wypuścicie, to będzie dowód i sąd was skarże za pastwienie się nad „żywotnymi“, i sam Pan Bóg was od tego nie obroni, bo świadek na miauczenie jest, człowiek rzetelny i prawdę powie. Jeżeli kot w stodole zdechnie: to na nic

nie będzie dowodu; sąd nie Jędrzejowi, lecz wam koszty sprawy przysądzi, jeżeli tego żądacie.

Miało się ku zmierzchowi, gdy obydwaj wózki, Jędrzejowi i Grzelin, wlokły się ku domowi. Naprzód jechał Jędrzej, smutny, nieraźny, a konikowi dał wolę, który szedł śpiący. Baba w chustkę owinięta, siedziała okrągło, jak kura na jajach. O parę staj za nimi jechali Grzelowie, równie, jak tamci, bez serca i pośpiechu. Zanik dnia nie był wesoły, październikowe schodziło na dół słońce, czerwone i zimne, mające za sobą w tyle mróz i wiatr. Pustka była wszędy na polach, jeno wioski, stogi, a tu i owdzie kępy brzoź lub olch, dokąd tuliły się olbrzymie stada gap i gawronów. Smutno było i światu szło na śmierć.

Zajechały na podwórko oba wózki w milczeniu. Gospodarze oprzątnęli dobytek, a gadzina poszła spać i ludzie. Nie wszyscy. Baby włożyły pod pierzyny, wygrzały się i czekały na chłopów. Ale ci spać nie mogli: ani Jędrzej, ani Grzela. Obydwaj czuli, że mają jeszcze dzisiaj coś do załatwienia. Jako ludziom prostym, nie biegłym w rozpa-miętywaniach, uparte myśli były bardzo dokuczliwe i tak ciężkie, że znieść ich nie mogli.

Jędrzej nie mógł wytrzymać: wziął na zucha i postanowił gwałtem wypuścić kota. Co będzie, to będzie. Po gęstym zmroku, bo nowego księżyca jeszcze nie było, udał się po cichu do stodołki

Grzelinej i wyrwał kłódkę od wierzejów. Otwęzła się czeluść stodoły. Przysłuchiwał się w ciemności, gdzie kot miauczy, bo latarki lękał się zapalić. Stodoła wszakże spała; słyhać tu lub tam nóżkę mysią, ale kot nie miauczał. Czy zdechł? W poszukiwaniu napróżnem życia i kota serce Jędrzeja poczęło się wściekać i przybrała mu złość niezmierna. Wtem dotknęła go żywa ludzka ręka.

Grzela również nie mógł być wytrzymać. Rada Czarnej Kity dokonała jego postanowienie. W czarnych błyszczących ślepiach żyda odczuł był urągawisko, radę djabelską, której teraz, gdy jest u siebie na własnych śmieciach, mocen jest uczynić naprzekór. Po cichu, w ciemnościach nocy, poszedł do stodoły wypuścić kota. Ku zdumieniu zastał wierzeje otwarte, a macająca po ómaku ręka jego dotknęła stojącego żywego człowieka.

— Kto tu?

— Kto tu?

— Złodziej!

Poznali się po głosie. Wściekłość zwierzęca rzuciła ich ku sobie. Zaczepili się, prac wzajem. Obłąpili się ramionami, mocując na życie i na śmierć. Na ciemnem klepisku słyhać było tylko wysiłek i stękanie. Wreszcie okazało się, że Jędrzej był mocniejszy i Grzela padł podeń, on zaś przycisnął go do ziemi. Jędrzej dyszał ze zmęczenia, tamten

już nie. Jędrzej ścisnął mu gardło aż do grdyki, bez wytchu i kresu.

— Zaduśilem!

Jędrzeja skazano na dwa lata więzienia za uduśnienie Grzeli w bójce. Gdy, odsiedziawszy karę, powrócił na zagrodę, myśl miał całkiem rozbitą. Ludzie poczytywali go za kawałek zbrodniarza, on także na sercu swoim czuł skazę, ale do końca życia nie mógł być dociec, kto był najwinniejszy: gołębie, kot, Grzela, Czarna Kita, sąd, czy on sam? I tak niewiedzący umarł.



98191

W „Książkach Ciekawych” wydano dotychczas:

Żeromskiego Stefana — „W Sidłach niedo...”

Wierzbńskiego Macieja — „Siostra Felicja”

Filochowskiego Wacława — „Amulet Ozirisa”

France’a Anatola — „Święty Satyr”

(przekład Stefana Godlewskiego)

Wellsa, Lyttona, Kiplinga — „Niesamowite opo-
wieści” (przekład W. Horzycy)

Gobineau J. A. — „Gamber - Ali”

(przekład Hawk’a)

Ligockiego Edwarda — „Komandor Sidi Nu-
man zu Stollberg”

W przygotowaniu:

Dygasińskiego Adolfa — „Wybór nowel”

Lemańskiego Jana — „Prawo mężczyzny”

Teffi — „Kobieta demoniczna”

(przekład Juljana Tuwima)

Nowaczyńskiego Adolfa — „Sen Srebrny Salo-
mei Kohn”

Daniłowskiego Gustawa — „Nowele”

Perzyńskiego Włodzimierza — „Okazja”

Wydawca

Feliks Gadomski.

Redaktor

Stanisław Miłaszewski.

98 191



ZAKŁADY GRAFICZNE ZYGMUNT SAKIERSKI.
WARSZAWA, MIEDZIANA 4-B. TELEFON 198-89.